

Czarno na ulicy Błękitnej

Łohutko Marian



calibre 0.9.27

Powieść co miesiąc - 075 - Powieść co miesiąc

Ewa wzywa 07... Ewa wzywa 07... Ewa wzywa 07...

Marian Łohutko

Czarno na ulicy Błękitnej

ISKRY Warszawa 1975



- Proszę nie skakać do wody parami - powtarzał przez megafon monotony, męski głos. - Osoba, która w czasie kąpieli zgubiła sztuczną szczękę, proszona jest o zgłoszenie się z dowodem osobistym do ratownika.

Wybity ze snu, leżałem zdezorientowany, nie wiedziałem, co to wszystko znaczy, może więc jeszcze ciągle śnię? Nie, we śnie to wyglądałoby inaczej, tylko na jawie, dziwniejszej często niż najdziwniejsze sny, skacze się do wody parami, a pojedynczo przychodzi do Urzędu Stanu Cywilnego i na jawie gubi się w basenie sztuczne szczęki.

Znów więc zasnąłem na leżaku. Całe szczęście, że nauczony smutnym doświadczeniem rozstawiłem go w cieniu, inaczej skończyć się to mogło chorobą. Czwarta, spałem ponad dwie godziny. Kiedy zasypiałem, obok leżały dwie ładne dziewczyny, jedna z nich zerkała nawet na mnie, więc zastanawiałem się, jak zacząć z nimi rozmowę. Niestety - zasypiając skompromitowałem się jako ewentualny konkurent, dziewczyny poszły, na ich miejscu leży brzuchaty, łysy facet z głową przykrytą chusteczką zawiązaną na wszystkich rogach. Właśnie tak mi się ostatnio wiedzie.

Dopiero dziś kończy się mój wczasowy turnus, ale ja już trzeci dzień jestem w Warszawie. W ośrodku koło Krynicy Morskiej, gdzie byłem na wczasach, sanepid zamknął stołówkę, radzono nam, żebyśmy się stołowali w restauracji odległej o sześć kilometrów. Jednocześnie zepsuła się pogoda, a że towarzystwo nie było ciekawe - w ciągu godziny zlikwidowałem swoje interesy.

W Warszawie niemiłosierny upał, powietrze stoi między rozgrzаныmi murami, wszyscy znajomi na urloпах. Za to jeździ się wygodnie tramwajami, bez kłopotów można zjeść obiad, a jeżeli ktoś uprze się, żeby zamoczyć nogi, może dociśnie się do basenu i tam musi tylko uważać, by mu na głowę nie skoczyła jakaś para.

W wodzie trochę się przeredziło, postanowiłem wykapać się. Grubasa z chusteczką poprosiłem, żeby popilnował moich rzeczy: wydał z siebie nieartykułowany dźwięk, który zrozumiałem jako znak, że się zgadza.

Kiedy wróciłem po kilkunastu minutach - grubas spał, głośno sapiąc. Ubrałem się, celowo potknąłem się o jego nogę, żeby się obudził - musiałem mu przecież podziękować - I wyszedłem na ulicę.

Co robić z sobotnim wieczorem? Wracać do domu? W telewizji jest film, ale dopiero o ósmej, co będę robił przez całe dwie godziny? Mijałem właśnie ogródek kawiarni, postanowiłem wstąpić na lody. Kiedy płaciłem, zachowałem się jak gapa. Kelnerka zaczęła chrząkać ze zniecierpliwienia. Siedziałem i wpatrywałem się nieruchomo w bilon, który wyjąłem z kieszeni. Opamiętałem się dopiero po dłuższej chwili. Zapłaciłem, a kiedy dziewczyna poszła - położyłem na stole to, co mnie tak zaskoczyło: klucz, spory klucz o skomplikowanych wycięciach.

Byłem pewny, że nie widziałem go nigdy przedtem. Nie pasował z pewnością do żadnego z moich zamków, nie znalazłem go, nikt mi go nie dał. W jaki więc sposób dostał się między monety, do kieszeni moich spodni? Rano przekładałem bilon z garnituru i pamiętam, że go przeliczałem. Wtedy klucza nie było. Z tego wniosek, że nie wiedząc o tym, wszedłem w posiadanie tajemniczego klucza w ciągu dzisiejszego dnia. Bezmyślnie kołysałem nim, trzymając za cienką tasiemkę, którą był

obwiązany. Co się dzieje, do diabła? Skąd się wziął w mojej kieszeni?

Taka sprawa może zaabsorbować człowieka bez reszty. Myślę o tym zdarzeniu. Czyżby dowcip? Może ktoś obserwuje mnie teraz i pokłada się ze śmiechu, widząc moje głupie miny? Rozglądałam się, ale nie spostrzegam nic takiego. Przypadek? Prawie nieprawdopodobne. Początkowo wydawało mi się, że tasiemka przyczepiona do klucza była po prostu zabrudzona, kiedy jednak zacząłem się jej pilniej przyglądać - dostrzegłem, że są na niej jakieś znaki, jak się okazało - litery i cyfry.

Drżącymi palcami rozsupałem ją, rozłożyłem na blacie stołu.

POTRZEBUJE. POMOCY - odczytałem z trudem - BŁĘKITNA 18, SZUKAJ SAMOCHODU, J.

Poderwałem się, wybiegłem z kawiarni. Udało mi się złapać taksówkę, pojechałem do domu. Przecucie mówiło mi, że to nie jest dowcip, że za tymi niewyraźnymi literami, wyskrobanymi na tasiemce, kryje się jakaś niebezpieczna, niepokojąca prawda.

Błękitna 18 to oczywiście adres. Na planie miasta zacząłem szukać tej ulicy. Leżała na peryferiach, wokół niej grupowały się zielone plamy, był więc tam jakiś park albo las. Jeszcze tylko zerknąłem, czym można dojechać, i wybiegłem z domu, zabierając pieniądze, dokumenty - jak zwykle, kiedy przypuszczałem, że mogę wrócić po dłuższym czasie.

Na to przedmieście jeździł tylko jeden autobus. Długo czekałem, kiedy wreszcie nadjechał, niecierpliwiłem się nadal, bo włókł się jak za pogrzebem. Słońce już zaszło, robiło się szaro. Mój niepokój narastał, wraz z zapadaniem zmierzchu sprawa stawała się w mojej świadomości coraz bardziej niepokojąca. „J” - chyba domyślałem się, o kogo chodzi. O rozpoznaniu pisma nie było co marzyć, nic sposób doszukać się jakichś indywidualnych cech w tych drukowanych literach, wyskrobanych na tasiemce. Jakiego samochodu mam szukać, jakiej pomocy mogę udzielić?

Wreszcie byłem na miejscu. Ulica mała i pusta, tylko jedna jej strona zabudowana kilkupiętrowymi blokami mieszkalnymi. To było na parzystej stronie ulicy; po nieparzystej dostrzegłem jakąś rudę, kilka domków jednorodzinnych, a dalej rozległy park.

Idę parzystą stroną ulicy, czytam tabliczki z numerami domów: dziesiąty, dwunasty, czternasty. Czuję, że serce bije mi coraz mocniej.

Dom oznaczony numerem osiemnastym nie wyróżniał się niczym szczególnym. Skręciłem, wszedłem na prawie nieoświetlone podwórze.

Rozejrzałem się: pusto, żadnego ruchu. Na klatce, schodowej zatrzymałem się przed listą lokatorów. Uważnie czytałem nazwiska, które nie kojarzyły mi się z niczym. Nic, nie znałem żadnego z mieszkańców tego domu. Jednak to tutaj, Błękitna 18. To tutaj dzieje się coś, co wymaga mojej interwencji.

Powoli wchodzę na schody, oglądam drzwi mieszkań. Żadne z nich nie są zamykane na ten typ klucza, który zaciskam w ręce. Doszedłem do ostatniego piętra, tam z jednego z mieszkań wychyliła

się głowa starej kobiety; kobieta pewnie zobaczyła mnie przez judasza, ale chciała jeszcze dokładniej obejrzeć. Patrzyła na mnie wrogo, kiedy stałem niezdecydowany na korytarzu i potem, kiedy zacząłem schodzić.

Znów wyszedłem na ciemne podwórze. Cicho, żadnych ludzi, daleki warkot motoru, szczekanie psa w parku. To wszystko. „Szukaj samochodu” napisano na tasiemce. Co znów za samochód? Koło domu nie było zaparkowanego żadnego samochodu, dopiero przy numerze dwudziestym czy dwudziestym drugim stała dychawiczna Syrena, pamiętająca odległe pięćdziesiątki. Jaki samochód, co może mieć wspólnego samochód z tym kluczem, nie ma chyba samochodów wyposażonych w drzwi takie, jakie chronią nasze mieszkania. A jeżeli nawet jest taki samochód, to przecież nie przy ulicy Błękitnej 13. tylko u jakiegoś zwariowanego milionera w Ameryce. Usiadłem na ławce, zupełnie nie wiedziałem, co mam w tej sytuacji zrobić...

Rozwiązanie było proste, ale wpadłem na nie z wielkimi oporami; rzeczywiście najprostsze rozwiązania przychodzą do głowy w ostatniej kolejności. Klucz i samochód... Przecież z pewnością chodzi o garaż! Ta uliczka ginąca między krzakami prawdopodobnie prowadzi do garaży, widać na niej wyraźnie ślady samochodowych opon!

Wbiegłem między krzewy i zobaczyłem cztery przylegające do siebie segmenty z szarobiałej cegły. Wszystkie zamknięte, trzy na kłódki, jeden, zewnętrzny, najbardziej oddalony od domu - na duży, dosyć skomplikowany zamek. Nie miałem wątpliwości, byłem wreszcie na miejscu.

Chwilę nasłuchiwałem, potem podbiegłem i w otwór zamka wsadziłem klucz. Przekręcił się miękko, z lekkim chrobotem. Pchnąłem drzwi, ale nie wchodziłem jeszcze.

- Jest tam kto? - zapytałem w ciemne wnętrze. Nikt mi nie odpowiedział. Wsunąłem rękę w szparę, namacałem kontakt, przekręciłem go.

Błysnęło słabe, żółte światło, zobaczyłem wewnątrz pełne jakichś blach, opon, kół, chłodnic. Głucho... Przekroczyłem próg.

- Joanna - powiedziałem cicho i bez przekonania, bo zaraz widać było, że garaż jest pusty. - Joanna.

Zrobiłem kilka kroków w kierunku najmniej oświetlonej części garażu. Zatrzymał mnie szmer, który jakby rozległ się za mną. Nasłuchiwałem, ale szmer już się nie powtórzył, pomyślałem więc, że powstał on w mojej wyobraźni i powoli posuwałem się dalej.

Wtedy gwałtownie skrzypnęły drzwi, trzasnęły o framugę. Rzuciłem się do tyłu, ale nie zdążyłem. Przedtem rozległ się trzask przekręcanego klucza, który zostawiłem w zamku. Zanim znalazłem się przy drzwiach, już je zamknięto i na próżno uderzałem o nie barkiem. Były to bardzo masywne drzwi z grubych desek wzmocnionych żelaznymi sztabami. Krzyczałem, ale szybko zrezygnowałem i z tego.

Usłyszałem, że ktoś biegnie przez krzaki i woła co chwila: „Złodziej! Złapałem złodzieja, mam go!” No tak, uspokoiłem się nieco. Dałem się nabrać. Coś się tu mnie szykuje, a ja zupełnie nie wiem

co, nie ma mowy o żadnej obronie. Gra po prostu nierówna, ja byłem widoczny i nieświadomy, a ktoś miał konkretny, przemyślany plan i sposób, żeby mnie włączyć w tę sprawę. Wystarczyło napisać literkę „J”, żeby bez zastanowienia pognął we wskazanym kierunku.

Joanna... Joanna posłużyła jako przynęta. Ale komu i po co potrzebno jest moja obecność w tym garażu, kto zadał sobie tyle trudu, żeby mnie tu zwabić i zamknąć?

Tak myślałem - szybko i chaotycznie - słysząc, jak jakiś mężczyzna wykrzykuje, że złapał złodzieja, który jest zamknięty w garażu.

Nie, w końcu nie mam się czego bać. Ten ktoś wszczął alarm, pewnie więc za jakiś czas będzie tu milicja. Ze strony milicji niczego przecież nie muszę się obawiać. Pozostaje mi czekać, spokojnie czekać, nie robić już żadnych głupstw. Czego tu dotknąłem? Klucza, drzwi, kontaktu. Czy czegoś więcej? Chyba nic. Nie wystarczy zwabić kogoś do garażu i zamknąć go. Trzeba mu coś udowodnić. Ja miałbym stąd coś kraść? Co na przykład? Te żelastwa czy stare opony? Nie, trzeba po prostu spokojnie poczekać na przyjazd milicji.

Uspokoilem oddech, jeszcze raz rozejrzałem się po słabo oświetlonym wnętrzu. Pod ścianą, wśród zakurzonych blach zobaczyłem coś kolorowego. Przysunąłem się, wyteżyłem wzrok. Był to kawałek żółto-niebieskiego materiału; kolory te coś mi przypominały. Pochyliłem się i stwierdziłem, że to chustka. Bezwiednie wziąłem ją w dwa palce i podniosłem.

Nie zdołałem powstrzymać krzyku. Spod apaszki wyłoniła się przykryta pończochą noga, obuta w elegancki but na bardzo wysokiej podeszwie. Między ścianą a spiętrzonymi blachami leżała więc jakaś kobieta.

Powiedziałem coś głośno, nie zdając sobie sprawy z tego, co mówię, wpatrywałem się w tę przeraźliwie nieruchomą nogę, wreszcie zrozumiałem, że kobieta ta już nigdy się nie poruszy i nigdy nie odpowie na żadne pytanie. Cofnąłem się pod drzwi, obszedłem stos blach i zajrzałem za nie z drugiej strony. Tu zobaczyłem głowę kobiety, policzkiem opartą o ziemię.

- Joanna! - krzyknąłem.

Pochyliłem się nad nią, odszukałem jej rękę. Była zimna, nie dała się unieść nad ziemią.

A więc nie żyje od dawna - pomyślałem.

Nie mogłem jej już w żaden sposób pomóc, teraz mogłem tylko szkodzić sobie. Podniosłem się, chciałem odejść w kierunku drzwi i wtedy moja ręka dotknęła czegoś zimnego - nad ciałem Joanny. Pochyliłem się jeszcze raz nad zwłokami. Dostrzegłem teraz to, czego nie zauważyłem poprzednio. W bok Joanny, na wysokości piersi wbity był bagnet z pofałdowaną, rzeźbioną w czarnej masie rękojeścią.

Wszystko stało się jasne, ale nie mogłem się powstrzymać, na rękojeści odszukałem dłonią rowki układające się w moje inicjały, które wypalił tam precyzyjnie Janusz, kapral Janusz Kłosek, zanim podarował mi ten bagnet - w ostatnich dniach mojego pobytu w wojsku, czyli równo dziesięć

lat temu.

- Joanna - powtarzałem cicho. - Komu zawadzała, kto musiał się jej pozbyć? Czy to możliwe, żeby komuś przeszkadzała?

Wkrótce usłyszałem narastający dźwięk syreny. Więc tak - wszystko tu pasuje, jak w dobrym mechanizmie. Zostałem złapany nad zwłokami Joanny, w jej plecach tkwi mój bagnet. A jeszcze dwa miesiące temu często widywano nas razem. Codziennie, prawie zawsze - kiedy szliśmy objęci, ale i wtedy, kiedy kłóciliśmy się, kiedy skakaliśmy sobie do oczu. Nie pamiętam, co mówiłem w takich sytuacjach i przy kim to się działo, teraz wszystkie te słowa nabiorą nowego znaczenia, staną się dodatkowymi dowodami zbrodni.

Syrena jest coraz bliżej, wreszcie urywa się, słyszę jeszcze warkot motoru, pisk opon, a potem już zbliżające się głosy.

- Gdzie to jest?

- O tu, gdzie widać światło, panie władzo.

- Ilu ich? Wiecie?

- Dokładnie nie wiem, skąd mam wiedzieć, panie władzo. Ale pewnie tylko jeden.

- To nie wy żeście go zamknęli?

- Nie, skąd, ja siedziałem w domu, panie władzo, oglądałem telewizję. Posłyszałem, że ktoś krzyczy, okno miałem otwarte, to się wychyliłem. To był jakiś młody człowiek, ale go nie widziałem, stał w cieniu. Pytał, czy ja jestem dozorcą i czy mam telefon. Kiedy powiedziałem, że tak - on na to, że zamknął w garażu złodzieja i żeby zadzwonić po milicję.

- Gdzie on jest, ten facet, co was zawiadomił? Znajomy jakiś, z bloku może? - Z naszego bloku to nic i chyba go nie znam. Ale nie powiem na pewno. Stał w cieniu, nie widziałem go dobrze. Potem zaraz gdzieś przepadł.

- Czyj to garaż?

- Takiego jednego starego mieszka u nas, w naszym domu. Tam nic nie ma.

- Jak to nic nie ma?

- No, tamten stary mówił, że nie ma samochodu, kiedyś parę lat temu miał takiego grata, potem sprzedał. Nie widziałem, żeby jeździł. A jak nie ma samochodu, to co może być w takim garażu, nie?

- No, dobrze, zostańcie tutaj, nie podchodźcie bliżej.

Szybkie kroki tuż pod drzwiami garażu.

- No, przyjacielu - głos zza drzwi. - Bez numerów. Nie masz żadnych szans. Otwieramy, a ty wychodzisz, dobrze? Tylko bez cudów. Powoli, ręczki na potylicy. Nie ma zabawy. Pamiętaj.

Drzwi otwierają się powoli, wychodzę z podniesionymi rękami. Milicjanci doskakują do mnie z obydwu stron, silne ręce łapią mnie, po chwili czuję już kajdanki lekko uciskające mnie w przegubach.

- No i tak, wpadliśmy - mówi powoli sierżant, uważnie mi się przyglądając. - Tak się to zawsze kończy, powtarzamy do znudzenia, a każdy z was myśli, że jest wyjątkowy, akurat on jest - inny, mądrzejszy albo sprytniejszy i że jemu się uda, ale tak naprawdę... Nakradnie i nikt go nie złapie, odfrunie gdzieś i uniknie kary. Zaraz, zaraz, ale czy myśmy się już kiedyś nie spotkali przy tej ciekawej robocie? Powiedz, przyjacielu, czy myśmy się już kiedyś nie spotkali?

- Bardzo prawdopodobne - powiedziałem.

- Recydywka? Cholera, że też wam się chce w takie upały...

- Nie, nie recydywa. Mogliśmy się spotkać w innej sytuacji.

- No, czego szukaliśmy?

- Proszę o odwiezienie mnie do komendy. A przedtem może pan zajrzy do środka.

- A, jasne, przyjacielu, że zajrzę, nie musisz mnie uczyć, co mam robić. Byłeś sam?

- Sam, to znaczy...

- Jest tam ktoś jeszcze? - zapytał ostro. - No już, nie mamy czasu na rozmowy.

- Niech pan zobaczy.

- Coś mi się to wszystko nie podoba - powiedział przyglądając mi się uważnie, po czym zwrócił się do kaprała: - Wyjmij pistolet i stój tu. Nie spuszczaaj z niego oczu, ale stań tyłem do ściany, żeby cię z tych krzaków... Ja pójdę do środka.

Wyjął pistolet z kabury, odbezpieczył go ł trzymając broń przed sobą, ostrożnie wsunął się do garażu. Słysząc było, jak potknął się o coś, szczęknęły uderzane blachy, wreszcie zagwizdał głośno.

- Ohoho - powiedział. - Takie sprawy.

Szybko wybiegł z garażu, wpadł do samochodu, widziałem, że włączył radiostację i rzucił do mikrofonu kilka słów. Wszedł z samochodu, stanął obok mnie.

- Twoja robota? - zapytał.

- Nie.

- Zawsze tak mówicie. Znałeś ją?

- Znałem. Wszystko powiem w komendzie.

- Jasne, wezwałem ich, przyjadą tu zaraz, zbadają, sfotografują... No, włącz do samochodu. Nie będziemy im przeszkadzali w robocie.

Po chwili znów usłyszałem daleką syrenę, nadjechały dwa radiowozy, sierżant powiedział coś porucznikowi, który wyskoczył z pierwszego radiowozu, wsiadł do samochodu obok mnie, kapral był już za kierownicą, szybko ruszyliśmy. Po niecałych dziesięciu minutach stanęliśmy przed budynkiem komendy. Wprowadzono mnie do pokoju oficera dyżurnego; był to porucznik, siedział tyłem do drzwi, rozmawiał przez telefon. Wreszcie odłożył słuchawkę, odwrócił się i odwracając się powiedział:

- Macie go?

Zaraz jednak poderwał się, podszedł do mnie.

- Grzegorz? - zapytał.

- Tak, zgadza się.

- To ty ją zabiłeś?

- Nie, nie ja. Chcę złożyć zeznania. Wszystko wyjaśnię.

- Oczywiście... Ale nie muszę ci chyba przypominać, że jeżeli to ty - jedyne wyjście przyznać się jak najszybciej.

- To nie ja, naprawdę.

Wszedł major Szymański, zastępca komendanta.

- Co tu robisz? - zapytał mnie. - Przywitaj się z kolegą.

- Nie bardzo mogę - uniosłem przed sobą skute rękę. - Zaobrączkowali mnie twoi ludzie.

- Dawajcie go do mojego pokoju, sam go przesłucham - powiedział major, który wreszcie zorientował się w sytuacji.

- Musieliśmy przejrzeć twoje mieszkanie - powiedział Szymański.

- Prosiłem o to.

- Cóż, sprawa wygląda niewesoło, sam chyba się orientujesz. Dziewczyna, którą dobrze znałeś i z którą wiązały cię bliskie kontakty, odeszła od ciebie, przeżywałaś to, chciałeś, żeby wróciła, wreszcie znajdujemy ją nieżywą w garażu, z twoim nożem w boku - i ciebie przy niej.

- Ale dotknąłem jej ręki, była sztywna, stężenie pośmiertne występuje przecież...

- Jasne, dopiero po pewnym czasie. Ale przecież mogłeś po coś wrócić. Chociażby po nóż. Ciekawe, jakie odciski będą na tym nożu. A dokładnie pamiętasz, jak to było, że bagnet został u niej?

- Tak, dokładnie, jak zeznałem. Na zakończenie karnawału poszliśmy na bal maskowy. Joanna była przebrana za rozbójnika, wzięła nóż. Na balu się pokłóciliśmy, wróciła do siebie, zabrała torbę z przebraniem. Potem właściwie zapomniałem o tym bagnecie, były ważniejsze sprawy...

- Ale wytłumacz mi, jak to możliwe, żebyś nie wiedział, gdzie ona mieszka? Czy to się trzyma kupy?

- Nie, nie trzyma się.

- Sam widzisz. Mówisz, że była stewardesą. Niestety, nieprawda. Ostatnio nigdzie nie pracowała, nie wiadomo z czego się utrzymywała.

- A gdzie mieszkała? - zapytałem.

- W kawalerce wynajętej od kogoś, kto wyjechał za granicę. Czy przed historią z tym kluczem nie zauważyłeś wokół siebie niczego dziwnego?

- Jeżeli nie liczyć historii z Joanną, to nic.

- A gdzie ty ją właściwie poznałeś?

- W pociągu, w październiku ubiegłego roku. Wracała od rodziny. To znaczy mówiła, że wraca. Już sam nie wiem, co było prawdą i czy w ogóle coś było prawdą z tego, co mówiła.

- Rozstaliście się prawie dwa miesiące temu i potem nie widziałeś już jej, tak? A nie szukałeś kontaktu z nią?

- Szukałem. Podała mi jakiś adres prosząc, bym z niego nie korzystał. Kiedy odeszła, poszedłem tam. Okazało się, że nie mieszka w tym domu od grudnia ubiegłego roku.

- To znaczy kiedy podawała ci adres, jeszcze tam mieszkała?

- Tak, podawała mi go w listopadzie.

- Pamiętasz go? To może być bardzo ważne.

- Oczywiście. Zimna 12, mieszkania 64. Wynajmowała jeden z dwóch pokoi, właścicielką jest emerytowana nauczycielka. Joanna wyprowadziła się stamtąd nagle, chociaż miała zapłacone za trzy miesiące z góry. Nie żądała zwrotu pieniędzy i nie powiedziała, dokąd się wyprowadza. Ta kobieta pytała ją, co ma mówić, jeżeliby ktoś szukał kontaktu z Joanną - Joanna oświadczyła, że wyjeżdża z Warszawy.

- Dobrze, jest jeszcze wiele spraw do wyjaśnienia w tej dziwnej historii. Cholernie bym chciał, żeby się okazało, że jesteś czysty jak łąza. Ale do tego czasu...

- Wiem, zamieszkałam w tak zwanym dołku.

- Niestety. A o twoich najbliższych losach zadecyduje chyba pojutrze prokurator.

Oddałem swoje rzeczy do depozytu, łącznie ze sznurowadłami, powędrowałem na dół. Poprosiłem majora, żeby po starej znajomości pozwolił mi zostawić zegarek. Sierżant z aresztu, pomimo że też znalazł mnie z widzenia, nieufnie obejrzał zegarek ze wszystkich stron, opukał go, wreszcie niechętnie mi go oddał.

Drzwi celi zamknęły się za mną z trzaskiem. Położyłem się na drewnianym podwyższeniu, przykryłem się kocem. Byłem dziwnie spokojny, przez dłuższą chwilę nie myślałem o niczym, potem, automatycznie jakoś, zacząłem myśleć o starych sprawach, o ludziach, których musiałem dziś spotkać, a których nie widziałem przeszło trzy lata.

Po skończeniu technikum pracowałem przez rok, nie dostałem się na politechnikę. Na wiosnę wzięto mnie do wojska, gdzie odsłużyłem swoje dwa lata. Służyłem w WSW, po zakończeniu służby zaproponowano mi pracę w milicji. Zgodziłem się; trochę jeździłem radiowozami, potem skierowano mnie do wydziału dochodzeniowego. Wiązało się to z trudnościami kadrowymi wynikłymi wskutek przedłużającej się epidemii grypy. Radziłem sobie dobrze, więc już zostałem przy dochodzeniach, po pewnym czasie wytypowano mnie do szkoły MO w Szczytnie. Ukończyłem ją i wróciłem do Warszawy.

Wkrótce potem poznałem Grażynę, kilka miesięcy znajomości, ślub; po roku dziecko - Robert. Dostałem się na Studium Zaoczne wydziału prawa; praca wyczerpująca i nie bardzo wymierna w godzinach, dom, studia. Byłem ciągle zmęczony, nawet na wakacje brałem ze sobą książki. Roberta wysłaliśmy do rodziców Grażyny, którzy mieszkali w Karpaczu. Ja byłem stale zajęty, Grażyna poza pracą biurową nie miała żadnych zainteresowań, coraz częściej powtarzały się sceny, wykrzykiwała, że marnuje młodość, że jej koleżanki chodzą do kin, teatrów, nocnych lokali, że ona ma dość tego wszystkiego. Uspokajałem ją, że kiedy skończę studia, będzie nam lżej, brakowało mi już tylko niecałych trzech semestrów. Grażyna mówiła, że skończę studia i zacznę znów zajmować się czymś, co nie będzie związane z nią - prosiłem, żeby sprowadziła Roberta, sądziłem, że opieka nad małym wypełni jej tę pustkę domową, którą odczuwała.

Nie doszliśmy do porozumienia, postawiła wreszcie warunek - ona albo studia i praca w milicji. Uważam, że nie wolno stawiać takich warunków, jeżeli przyjmuje się je - pojawiają się inne, coraz to nowe. Rozstaliśmy się; szybko uzyskaliśmy rozwód. Grażyna przeprowadziła się do Wrocławia, gdzie po kilku miesiącach wyszła powtórnie za męża. Starłem się, żeby Robert wrócił do mnie, ale nic z tego nie wyszło; sąd przyznał jej opiekę nad dzieckiem. Ja miałem tylko prawo widywać chłopca.

Te sprawy zupełnie mnie rozbiły. Niestety - ucierpiała na tym również praca. Poprzednio stawiany byłem za wzór, teraz mnie samemu przydałyby się dobre wzory. Zaczęły zdarzać się przypadki, że zapominałem o czymś ważnym. Szymański, który był wtedy moim naczelnikiem,

przeprowadził ze mną kilka „poważnych rozmów” w rodzaju: „Chłopic, weź się w garść, nie ty pierwszy i nie ostatni masz kłopoty osobiste, zagładanie do kieliszka nic jest wyjściem mającym jakąś perspektywę, słowem: zaciśnij zęby i spróbuj skoncentrować się na pracy, zapracuj się do upadłego, może o wszystkim zapomnisz.”

Przyrzekłem powalczyć ze swoimi słabościami, ale w żaden sposób nie potrafiłem wypędzić z głowy niewesołych myśli, ciągle byłem rozkojarzony, kiedyś wezwałem ludzi na dzień, na który sam byłem wezwany do sądu, świadkowie czekali, słusznie poskarżyli się komendantowi. Wreszcie zdarzyła się ta historia z grypsem... Zupełnie mnie załamała, powiedziałem sobie, że to był dla mnie ostateczny dowód, że nie sprawdzam się w tej pracy i powinienem zająć się czymś spokojniejszym.

Nikt nie zamierzał mnie dyscyplinarnie zwolnić, jednak komendant wezwał mnie i oświadczył, że i dla mnie, i „dla służby”, lepiej będzie, jeżeli zostanę czasowo przeniesiony do innych zajęć, mniej wyczerpujących psychicznie, zaproponował mi pracę w komórce zajmującej się statystyką.

To były półśrodki, a ja postanowiłem zachować się jak prawdziwy mężczyzna. Jeżeli nic potrafię robić tego, od czego tu jestem, a zgadzałem się w tym względzie ze zwierzchnikami, nie ma co się oszukiwać i rozczulać nad sobą. Po prostu trzeba odejść.

Zwolniłem się ze służby, podjąłem pracę w biurze. Skończyłem studia, awansowałem, dostałem podwyżkę. Zacząłem żyć jak przeciętny obywatel i wcale nie było mi z tym źle - i takie życie ma swoje dobre strony. Mundur i broń oddałem trzy lata temu. Teraz sam znalazłem się w jednej z tych cel, w których kiedyś przebywali „moi” podejrzani. Jestem tu i nie wiadomo, jakie będą moje dalsze losy. Nie wiem, co zostało dla mnie przygotowane, jakie poszlaki świadczące o tym, że to ja, w szale zazdrości, zabiłem Joannę.

Noc, dochodzi dwunasta. Czuję się bardzo zmęczony, kładę się, wreszcie zasypiam, skulony na drewnianym podeście.

Na rękojeści bagnetu były odciski palców Joanny i moje. Wokół mnie robiło się coraz goręcej, ratunek nadszedł jednak szybko - z prosektorium. Lekarze - ten, który był na miejscu znalezienia zwłok i dokonujący sekcji - orzekli, że śmierć nastąpiła między siódmą a dwunastą w dniu, kiedy zostałem zatrzymany.

Około południa odwieziono mnie do Komendy Miasta, sprawę zabójstwa Joanny Otrzymał do prowadzenia znany mi z widzenia kapitan. Przesłuchiwał mnie szczegółowo, w trakcie tego przesłuchania zorientowałem się, że się interesuje godzinami od siódmej do dwunastej.

- Kiedy zaczynacie pracę? - zapytał.

- O wpół do dziewiątej.

- A mieszkanie sami, tak? Czy ktoś was widział w godzinach między siódmą a ósmą rano na przykład?

- Czy to jest bardzo ważne? - uniosłem się.

- Odpowiedzcie na pytanie. Czy ktoś was widział, a jeżeli tak - gdzie to było.

- Widziano mnie - odparłem i zrozumiałem, że sytuacja zmienia się na moją korzyść. - Wróciłem z urlopu, czekały na mnie zaległości. U nas sprzątaczkę sprzątają biuro rano, tak im jest wygodniej. Pamiętałem o tym, wiedziałem, że biuro będzie otwarte. Przyszedłem przed wpół do siódmej. Obydwie sprzątaczkę mnie widziały, rozmawiałem z nimi. A wyszły, kiedy przychodzili pierwsi pracownicy.

Jeszcze raz powędrowałem na dół, ale po dwóch godzinach mnie zwolniono. Kapitan powiedział, że sprzątaczkę potwierdziły moje alibi, w związku z czym mogę jechać do domu, nie wolno mi jednak opuszczać miejsca zamieszkania bez powiadomienia go o tym.

Ładnie przygotowana sprawa - myślałem. - Ale w siatce na mnie była dziura. Wszystko przewidziano: że pojedę na Błękitną, że odnajdę ten garaż i wejdę tam. Pian zniszczyła moja pracowitość, której nie przewidzieli. Wypływają z tego niesłychanie konstruktywne wnioski: pracowitość przynosi korzyści, jakich nie można przewidzieć nawet przy najbujniejszej wyobraźni.

Następnego dnia kapitan złożył mi wizytę w mieszkaniu. Rozglądał się ciekawie dookoła; wiedziałem, że wiele mu brakuje w protokołach moich przesłuchań. Dotychczas moja znajomość z Joanną była jakby na dalszym planie, przede wszystkim chodziło o dwa ostatnie dni, a właściwie o jeden, ten, kiedy zginęła Joanna. Teraz wracaliśmy coraz dalej; cofaliśmy się dzień po dniu: przypominałem sobie najdrobniejsze szczegóły, jej stroje, ulubione powiedzonka, miejsca, gdzie lubiła chodzić, ludzi, o których wspominała w rozmowach.

Wiedziałem, że to wszystko jest potrzebne, że właśnie może od jednego z tych pozornie pozbawionych znaczenia szczegółów rozpocznie się mozolna droga ku prawdzie.

- Co wiemy? - zapytał podpułkownik Jańczak.

- Niby sporo, ale niewiele z tego na razie wynika - powiedział kapitan Krzemień. - Nie wiemy, dlaczego zginęła Joanna Dolińska, i nie wiemy, kto ją zabił. Nie wiemy, z czego utrzymywała się przez ostatni rok, nie złapaliśmy jej kontaktów. Zabito ją prawdopodobnie w tym garażu, ślady na szyi wskazują, że była duszona, ale śmierć nastąpiła w wyniku pchnięcia nożem.

- Czyj to jest w końcu garaż?

- Jana Trzeciaka, starszego pana, który mieszka w domu przy Błękitnej 18.

- Zaraz, ale tam chyba nie było żadnego samochodu w garażu?

- Nie było. Stare części samochodowe, blachy, rupiecie. Trzeciak miał wiekowego Mercedesa, ale go sprzedał przed paroma laty, a garaż wynajął właścicielowi warsztatu samochodowego. Trzy lata temu samochodziarz popełnił samobójstwo...

- Więc druga śmierć związana z tym garażem? Wydostaliście akta tamtej sprawy?

- Nagły zgon Karola Wierzbickiego? Tak, mam je ze sobą. Umorzone z powodu nie stwierdzenia

przestępstwa. Jeszcze raz dokładnie to przejrzałem, sprawa wydaje się oczywista. Facetowi wyraźnie pomieszało się w głowie, chodził i mówił, że jest grzesznikiem, nie zdoła odkupić swoich win... Powiesił się na pasku we własnym zamkniętym od wewnątrz na łańcuch mieszkaniu, sekcja wykazała śmierć wskutek zerwania rdzenia pacierzowego.

- A co z garażem?

- Do zakończenia dochodzenia był zaplombowany, polem oczywiście przekazano klucze Trzeciakowi. Od tego czasu nikomu już nic wynajął tego garażu.

- Ciekawe, a czynsz za garaż płacił?

- Tak, na bieżąco.

- Z czego utrzymuje się pan Trzeciak?

- Ma dwa tysiące złotych emerytury, poza tym dostaje jakieś paczki od rodziny z zagranicy.

- I co on na to wszystko? Zwłoki w jego garażu, garaż stoi pusty przez trzy lata...

- Z nim prawie że nie ma kontaktu. Był na leczeniu w szpitalu psychiatrycznym, chwilami zupełnie przytomny, rzeczowo odpowiada, nagle wszystko się urywa, zaczyna mówić od rzeczy, wola kogoś, chce uciekać...

- Udaje czy rzeczywiście, jak myślicie?

- Kto go tam wie, może trochę udaje.

- No a jak w tej całej historii widzicie naszego byłego człowieka?

- Ziębę? Ktoś chce go za wszelką cenę zrobić w morderstwo. Dal się podejść.

- A wy co zrobilibyście w takiej sytuacji?

- Kto wie, może to samo co on? Z początku wyglądało to na jakiś dowcip. Zresztą w tej chwili niczego nie da się wykluczyć.

- Zaraz, a to co za notatka?

- Komuś się nie podobały plomby na garażu. Uważał, że są jakby naruszone... Ale żadnych śladów włamania, pewnie dzieci albo chuliganeria, tak zresztą pisze ten funkcjonariusz w notatce.

- Nie bardzo mi się podoba ten garaż. Co mówi dozorca, kto tam przychodził?

- Właśnie niewiele mówi. Garaże są oddalone od domu, ukryte za drzewami.

On tam rzadko bywa. Właściwie nic nie potrafił na ich temat powiedzieć.

- A Trzeciak oczywiście o niczym nie wie? - zapytał podpułkownik.

- Twierdzi, że nie używa garażu, a nie wynajął go dlatego, że nie ma do tego głowy. Ostatni raz był w swoim garażu parę miesięcy temu, klucz ma w domu, nikomu go nie daje, a zwrócono mu len klucz po zakończeniu postępowania w sprawie samobójstwa Wierzbickiego.

- Pchnijcie wreszcie to śledztwo, bo już minęło kilka dni, a ciągle stoimy w miejscu.

- Maszyna jest w pełnym ruchu. -

- Jutro oczekuję jakichś nowin, które rzuciłyby więcej Światła na całą sprawę - zakończył podpułkownik.

Dozorca był tęgim, około sześćdziesięcioletnim mężczyzną. Na pytania odpowiadał szybko, nieco jękając się ze zdenerwowania; Krzemień zauważył, że trzęsą mu się ręce.

- Naprawdę nic nie mogę powiedzieć o tym człowieku - powtarzał. - Jak to oni wszyscy teraz, ledwie da się rozróżnić. A ciemno już było... Przyleciał do mojego okna, zobaczyłem, że stoi z boku, powiedział, że jest zamknięty złodziej w garażu, to wróciłem do telefonu... A jak wyszedłem na podwórze, to już go nie było.

- Poznałby go pan?

- Czy ja wiem? Tak z bliska to go nie widziałem, stał w cieniu. Wysoki, włosy długie, młody...

- Ile mógł mieć lat?

- Młody, czy ja wiem, dwadzieścia pięć, może więcej, może mniej... Jak się tak człowieka widzi krótko i po ciemku...

- Mówił o złodzieju czy o złodziejach?

- Chyba mówił: złodziej, znaczy jeden... Tak, na pewno.

- A skąd ten obcy wiedział, że to złodziej, a nie właściciel?

- Tak dokładnie to wtedy nie pomyślałem, ale potem... Spodziewałem się, że wyłamane drzwi, oberwana kłódka czy coś takiego... A jak przybiegłem na miejsce, widzę - drzwi otworzone kluczem... Ale jakoś nie pomyślałem... To rzeczywiście dziwne, bo jeżeli obcy widzi, że ktoś otwiera z klucza, w dodatku po ciemku...

- Tego, co był zamknięty - widzieliście przedtem?

- Chyba nie, ale głowy nie dam.

- Trzeciak używał garażu, chodził tam?

- Po co on by tam chodził, panie władzo. On w ogóle niewiele wychodzi z domu. Mogę się mylić, ale wygląda, jakby się czegoś bał.

- Teraz, po znalezieniu zwłok w jego garażu?

- Nie, chyba jeszcze przedtem - powiedział dozorca po chwilowym namyśle. - Tak. I przedtem też. A teraz to chyba wcale nie wychodzi, widziałem go raz, jak niósł wielką torbę z zakupami, ledwie sobie radził, bo to przecież starszy człowiek. A prawie biegł, chociaż ta torba ciągnęła go nieźle do ziemi.

Dzwonek przy drzwiach Trzeciaka był zepsuty, kapitan długo stukał. Wreszcie dały się słyszeć powolne, człapiące kroki, które zatrzymały się tuż przy drzwiach.

- Kto tam? - usłyszał Krzemień słaby głos.

- Milicja! - powiedział.

Szczęknięty zamek i drzwi powoli zaczęły się uchylać, były jednak zabezpieczone łańcuchem, w szparze ukazała się twarz starca.

- Ach, to pan - mruknął i zdjął łańcuch. - Chce pan jeszcze czegoś ode mnie? Ja wszystko powiedziałem.

- Jeszcze kilka pytań. Weszli do mrocznego, dusznego pokoju, zagraconego starymi sprzętami.

- Jak pan opłaca czynsz za mieszkanie? - zapytał Krzemień.

- Przecież... przecież zwyczajnie... Mam taką książeczkę i zaraz, jak dostaję rentę, wypisuję odcinek...

- Czy mógłby mi pan pokazać tę książeczkę?

- Ale ja z niczym nie zalegam, zaraz jak otrzymuję rentę...

- W porządku, chciałbym ją jednak zobaczyć.

Trzeciak długo szperał w żaluzjowej szafie, przy każdym jego ruchu wydobywał się stamtąd kurz. Dwa razy odwracał się i mówił, że pewnie nie znajdzie, ale usłyszał, że musi szukać do skutku. Wreszcie podał kapitanowi książeczkę wpłat. -

- Chyba czegoś tu brakuje - zauważył kapitan po chwili.

- Czego, przecież wszystko na bieżąco... - powtarzał Trzeciak.

- Nie ma opłat za garaż. Ile wynosi czynsz za mieszkanie?

- Niecałe dwieście - powiedział cicho Trzeciak.

- A za garaż płaci się dodatkowo.
- Ale ja nie zalegam...
- Wiem, sprawdzałem. A w jaki sposób zapłacił pan za garaż?
- Z góry. Zresztą nie wiem, nic nie wiem, kim pan jest, ja nic nie wiem, nie wiem - powtarzał.

W administracji osiedla kapitan odszukał odcinki wpłat za garaż. Było ich kilkanaście, płacono jednocześnie czynsz za trzy - cztery miesiące. Wrócił na ulicę Błękitną, wszedł na klatkę schodową, ale po namyśle skierował się do garaży. Otworzył garaż Trzeciaka i uważnie oglądał wszystko, co tam było, stare rupiecie opisane już w protokole znajdującym się w aktach sprawy, podłogę, ściany, dach. Potem jeszcze raz poszedł do mieszkania Trzeciaka.

- Czy garaż był remontowany w ostatnim czasie?
- Ja nic nie remontowałem. Ja tam nic bywam.
- Czy nie były wstawiane nowe cegły? No, do tej zewnętrznej ściany?
- Nie, ja nic nie wiem. Nic nie wiem. Nie pamiętam. Jestem zmęczony.
- To nie pan pisał, prawda? - Krzemień wyjął odcinki wpłat czynszu za garaż.
- Ja nic nie wiem! - krzyknął Trzeciak. - Niech pan idzie, oni...

Urwał i nie powiedział nic więcej, nie odezwał się. Na nic nie reagował, siedział nieruchomo, wpatrzony w jeden punkt.

Wywiadowca Piotr Danielak wczesnym rankiem wrócił z podróży służbowej. Natychmiast znalazł się w pokoju kapitana Krzemienia.

- Coś mam - powiedział, zanim zdążył usiąść. - Odnalazłem pod Krakowem ciotkę tej Joasi.
- No i czego się dowiedziałeś?

- Dziewczyna odwiedziła ją niedawno, to znaczy kilka dni temu - Danielak usiadł wygodniej, twarz miał zmęczoną, ale ruchy energiczne, oczy żywo błyszczały. - Pobyła tym razem krótko, poprzednio wpadła na dłużej, ale to prawie dwa miesiące temu. Wtedy mówiła, że prawdopodobnie wyjdzie za mąż, humor miała... Została na tydzień. Tym razem przyjechała, żeby pożyczyć od ciotki pieniądze, powiedziała, że będzie musiała natychmiast wyjechać. Ciotka dała jej to, co miała, trzy tysiące pięćset złotych. Dziewczyna zaraz poszła.

- Ta ciotka to jej najbliższa rodzina?
- Tak, rodzice nic żyją, bracia ojca za granicą...

- Ciotka pytała, co to wszystko znaczy, ten pośpiech, konieczność nagłego wyjazdu?

- Pytała, ale dziewczyna powiedziała, że sytuacja się niedługo wyjaśni i wtedy opowie jej wszystko po kolei. Zabrałem stamtąd rzeczy dziewczyny: jakieś listy, fotografie, zapiski...

- Masz to tu? Dawaj.

Danielak położył na biurku grubą, wypchaną kopertę.

- Kiedy to zostawiła, pytałeś?

- Oczywiście. Teraz, kilka dni temu. Czegoś się obawiała, to jasne.

- Jak odszukałeś tę ciotkę?

- Wystarczyło to, co powiedziała nam poprzednia gospodyni Dolińskiej, że znalazła w jej pokoju bilet do Kazimierzy Wielkiej. Pojechałem tam z fotografią zajęło mi to dwie godziny, licząc od opuszczenia autobusu.

Kapitan otworzył kopertę, wysypał na biurko jej zawartość. Listów była kilkanaście, najstarsze od jakiegoś Michała, coraz bardziej rozpaczliwe, nie może żyć bez niej, świat stracił cały swój urok, nie ma po co wstawać rano i tak dalej, kilka listów od ciotki, wreszcie jeden, podpisany literami „Nes”, nad którym kapitan zatrzymał się najdłużej. Nes pisał:

Przepowiadałaś mi, że tak skończą i nie myliłaś się. Za rzadko Cię słuchałem, wydawało mi się zawsze, że sam wiem, co powinienem robić i niepotrzebne mi są żadne rady. Stało się, ale czuję, że nie zdarzyła się tragedia, może wbrew pozorom wszystko to wyjdzie mi na dobre. Wiele rzeczy zrozumiałem tutaj, nigdy nie miałem tyle czasu na myślenie. Tym razem koniec ze wszystkim, naprawdę koniec. Postaraj się mnie zrozumieć, może właśnie czegoś takiego było mi trzeba, żeby zbudować ścianę między swoją przeszłością a dalszym życiem, żeby móc potem zacząć naprawdę od nowa i zupełnie inaczej. Wierzę, że zrozumiesz mnie i poczekaś na mnie, przebaczysz mi, przekonasz się, że warto. Czas płynie bardzo szybko, nie będziesz musiała pracować, ucz się języków, zrób prawo jazdy, pomyśl o powrocie na studia. Załatw dalej, jak cię prosiłem, z tym garażem. I jeszcze jedno ważne. Zaopiekuj się szarą kopertą, którą ci dałem przy ostatnim spotkaniu. Są tam ważne papiery, moje jedyne rodzinne pamiątki, będą miały znaczenie, bo po tym wszystkim zacznę walczyć o spadek, który mi się należy, a którego chcą mnie pozbawić. Kocham cię coraz mocniej. Przepraszam, nie będę pisał często.

- Co o tym sądzisz? - zapytał kapitan.

- List pisany z kryminału. Czytałem niejednego taki list.

- Właściwie nie ma żadnych danych. Daty, miejscowości. Poza tym co to za litery: Nes?

- Na listach z więzienia jest zwykle adnotacja o ocenzurowaniu. Tu nie ma nic takiego.

- A tutaj? - kapitan przejechał palcem po górnym, nierównym brzegu kartki. Nie uważasz, że

było tu trochę więcej papieru i obcięto go? A zwykle tam, na górze mamy datę, miejscowość, adnotację o cenzurze.

- W tej sytuacji niewiele chyba da się odtworzyć - westchnął Danielak.

- Pomyślimy - powiedział powoli kapitan.

Oglądali fotografie; przeważnie była na nich Dolińska, kilka zdjęć z jakichś wczasów czy wycieczki, podobizna smutnego Zięby, dwie dziewczyny. Nigdzie - ani w mieszkaniu, które Joanna ostatnio wynajmowała, ani u ciotki, ani też przy zwłokach - nie znaleziono żadnego adresu, żadnego numeru telefonu.

- Nes - powtarzał kapitan, kiedy został sam w pokoju. - Cholera, z niczym mi się to nie kojarzy, zupełnie.

Młody milicjant prężył się w drzwiach.

- Kapral Jasiński z meldunkiem - wyrecytował.

- Chodźcie tu, bez tych ceregieli, nie jestem marszałkiem - uśmiechnął się kapitan. - Mówcie, co jest?

- Było włamanie do zaplombowanego mieszkania Dolińskiej - powiedział kapral. - Zerwane plomby, drzwi otwarte pewnie jakimś dopasowanym kluczem, w mieszkaniu nieład, ktoś czegoś szukał.

- Nikt nic nie spostrzegł? Dozorca, sąsiedzi?

- Nie.

- Czy coś zginęło? Zresztą skąd możecie wiedzieć...

Po kilkunastu minutach kapitan był już w mieszkaniu, do którego cię włamano. Poprzednio nie sporządzono protokołu oględzin mieszkania, tylko je dokładnie przeszukano, zresztą bez większych rezultatów.

Kapitan usiłował odtworzyć sobie w pamięci wygląd mieszkania sprzed kilku dni, wolno chodził po pokoju. Jeden z techników wyjął zamek z drzwi, żeby oddać go do ekspertyzy, drugi posypywał sprzęty argenteratem, poszukując odcisków linii papilarnych.

Kapitan odnosił niejasne wrażenie, że czegoś brakuje na komodzie. Już tylko chwila namysłu i wiedział: poprzednio stała tam fotografia Zięby, teraz to miejsce było puste. Przejrzeli jeszcze raz mieszkanie, zdjęcia nigdzie nie znaleźli.

Przerzucając rzeczy w szafie kapitan przypomniał sobie, że leżał tam jaskrawożółty sweter z grubej wełny. I swetra też nie było, natomiast inne swetry i eleganckie bluzki pozostały na miejscu.

Zatelefonował do porucznika Kowalczyka, którego przydzielono mu do pomocy w prowadzeniu śledztwa, polecił niezwłocznie odszukać Ziębę i dowiedzieć się od niego, czy miał żółty sweter i czy ma go obecnie.

Świadomość, że Joanna naprawdę nie żyje, dotarła do mnie dopiero po dwóch czy trzech dniach. Przedtem niby pogodziłem się z tym, że nic będziemy razem, jednak to było coś zupełnie innego. Nie musiałem się do tego przyznawać, ale gdzieś głęboko pozostała we mnie Jakaś nadzieja, ślad nadziei, że któryś z nadchodzących dni przyniesie zmianę i znów będziemy razem.

Teraz wszystko było przesądzone, nigdy już nie zobaczę Joanny, nie usłyszę jej śmiechu. Pozostała pustka, której nie potrafiłem wypełnić. Nie bardzo wiedziałem, co ze sobą zrobić, po pracy włączyłem się po mieście, sam chodziłem do kina, odwiedzałem znajomych, ale nie miałem chęci do rozmów, siedziałem więc w milczeniu, szybko wychodziłem, znów łażenie po ulicach, ludzie, wystawy sklepów, samochody; nic mnie nie interesowało, rozgrywało się jakby za szybą.

Przywędrował do mnie jakiś chłopak, przedstawił się, że jest z milicji i przysyła go kapitan Krzemień. Wiedziałem, że jeszcze będę im wielokrotnie potrzebny do różnych spraw. Ale tym razem nawet ja byłem zaskoczony.

- Czy ma pan albo miał żółty sweter?

- Co takiego? Żółty sweter?

- Tak, zgadza się.

- Miałem, ale nie wiem, czemu to...

- I co się stało z tym swetrem?

- Pożyczyłem go Joannie - powiedziałem. - Potrzebowała go w zimie.

- I nie oddała panu tego swetra?

- Jakoś nie pomyśleliśmy o tym.

- Jest pan pewny, że nie zwróciła go?

- Chyba nie, ale głowy bym nie dał... Wie pan, po tym wszystkim nie bardzo jeszcze przyszedłem do siebie.

- Może pan sprawdzi...

- Mogę sprawdzić.

Przejrzałem rzeczy w szafie, swetra nie było. Bez przekonania zajrzałem do komody i znalazłem w niej sweter. Kładłem tam zwykle tylko bieliznę, więc zdziwiło mnie to trochę, ale w końcu wszystko jest możliwe, człowiek starzeje się, pamięć zaczyna zawodzić. - Więc jednak jest -

uśmiechnął się chłopak.

- Jest... - powiedziałem speszony. - A byłem zupełnie przekonany, że...
- Poza tym wszystko w porządku?
- Co pan ma na myśli?
- No tu, w pańskim mieszkaniu. Nie zauważył pan niczego dziwnego?
- Nie, ale nie przeglądałem rzeczy, nie miałem powodu... Dlaczego pan pyta?

Sięgnąłem do szuflady po nową paczkę papierosów. Od szarpnięcia zsunęło się wieko tekturowego pudełka, w którym trzymałem fotografie. Chciałem już nasunąć je z powrotem, ale zatrzymałem się w pół ruchu. Wyjąłem stamtąd swoje pocztówkowe zdjęcie z niedowierzaniem odwróciłem je i na białej stronie przeczytałem: Joannie, którą kocham - Grzegorz.

Tu byłem zupełnie pewny: tę fotografię dałem Joannie w przeddzień Sylwestra i z całą pewnością nie odebrałem jej.

- Jednak coś nic w porządku? - zapytał.

- Tak, tę fotografię dałem Dolińskiej, a ona mi jej nie zwróciła. Nie mam pojęcia, skąd się mogła tu znaleźć.

- A jak pan teraz widzi sprawę swetra?

- No tak, ta sama historia.

- A wnioski?

- Czy coś się stało? - zapytałem. - Może mi pan powiedzieć, co zaszło?

- Dokonano włamania do mieszkania, w którym ostatnio mieszkała Dolińska. Nie zginęło prawdopodobnie nic poza tymi rzeczami: swetrem i fotografią.

- Więc podejrzewacie, że ja...

- Ja nie jestem od podejrzewania - przerwał mi. - Wykonuję polecenia służbowe. A co pan o tym wszystkim sądzi?

- Dla mnie jest jedno wytłumaczenie tej dziwnej sytuacji. Ktoś był tu i podrzucił te przedmioty.

- A Dolińska miała pańskie klucze?

- Kiedyś miała, ale zwróciła mi je, kiedy rozstawaliśmy się. Poza tym nikt nie ma kluczy do mojego mieszkania, a żadnych śladów włamania nie dostrzegłem. Zamki, nie wiem, czy pan zwrócił

uwagę, mam skomplikowane i tak zwana „pasówka” raczej nie wchodzi w rachubę.

- Zatem ktoś zdobył klucze od pańskiego mieszkania, chociaż właściwie nie miał możliwości dotarcia do nich.

- No i ciągle ten ktoś chce was przekonać, że jednak ja jestem mordercą.

- Na to wyglądu.

- Chciałem panu zadać prywatne pytanie, można?

- Oczywiście - uśmiechnął się.

- Zna pan sprawę?

- Tak. Chce pan wiedzieć, czy dałbym się przekonać, że pan w tym maczał palce? Dla mnie to wszystko szyte jest zbyt grubymi nićmi. Ale to mój prywatny pogląd. Co to jeszcze chciałem?... Aha, kapitan prosił, żeby się pan do niego pofatygował za godzinę.

Kapitan czekał na mnie. Nie zadawał już żadnych pytań, zorientowałem się, że to on ma mi coś do przekazania, byłem ciekaw, co.

- Po tych ostatnich wydarzeniach - powiedział wreszcie po kilku zdawkowych słowach przywitania - zastanawialiśmy się z pułkownikiem nad pańską rolą w całej historii i jako do byłego kolegi będziemy mieli do pana prośbę. Chcielibyśmy, żeby pan nam pomógł.

- Ja? Ale w jaki sposób?

- Z pewnością w pana przeszłości jest coś, co pana łączy z tą sprawą. Oczywiście nie mówię o znajomości z Dolińską. Jest z pewnością coś, czego pan nam jeszcze nie powiedział, a co może nam pomóc rozwikłać zagadkę. Poza tym nie chciałbym pana straszyć, ale chyba sam się pan zorientował, że może panu grozić poważne niebezpieczeństwo. Za tą sprawą stoją przecież ludzie, którzy nie wahają się nawet przed popełnieniem morderstwa. Proszę więc uważać na siebie i - jak już mówiłem starać się przypomnieć sobie coś z pańskiego życia, co ma związek z tym, co się teraz wokół pana dzieje; jesteśmy przekonani, że coś takiego było. I - choć to nie najbardziej zgodne z przepisami - pułkownik postanowił udostępnić panu akta śledztwa. Bez tego nic wiem, czy zdołałby pan coś wymyślić.

- Dziękuję bardzo - powiedziałem. - Wyjść z tego cało to przecież mój największy interes.

Wracając z komendy, pieszo przeszedłem przez plac Dzierżyńskiego, Saski Ogród i minąwszy plac Zwycięstwa znalazłem się na Krakowskim Przedmieściu. Nie wiem, czy inni ludzie też to wyczuwają, ja - tak. Czuję mianowicie na plecach czyjś wzrok. Nie odwracałem się, starałem się sprawdzić kątem oka, co się dzieje za mną, oglądałem odbicia w szybach autobusów stojących na przystankach.

Tak, miałem anioła stróża. Tylko jaka była tajemnica tego, że mnie pilnował? Chciał ustrzec

przed grożącymi niebezpieczeństwami czy też może szedł po moich śladach w nadziei, że go zaprowadzę do miejsca, gdzie znajdują się dowody przeciwko mnie? Nie jest przyjemnie mieć kogoś takiego za plecami, zresztą trzeba przyznać, że gdyby nie moja zawodowa spostrzegawczość, z pewnością nie zorientowałbym się, że ktoś depta mi po piętach. Postanowiłem zachowywać się jakby nigdy nic. Jeżeli zajdzie potrzeba, postaram się go zgubić, a mam chyba nad nim pewną przewagę: on co prawda widzi mnie przed sobą, ale ja wiem, że jestem śledzony.

Porucznik Kowalczyk miał dwadzieścia siedem lat i temperament południowca, daremnie więc próbował ukryć radość. Krzemień dostrzegł, że usiłuje on odwlec moment, kiedy powie, z czym przyszedł, że słowa cisną mu się na usta i walczy resztkami sił.

- Z czego się śmiejesz? - spieszył się porucznik, zorientował się, że to on tak rozweselił kapitana.

- Bo widzę, że zadajesz gwałt swojej naturze... - powiedział kapitan. - No, dalej... Masz coś nowego?

- Tak, znów - Kraków.

- Więc akcja częściowo przenosi się na południe. - Krzemień ciągle się uśmiechał.

- Zgodnie z poleceniem zająłem się jeszcze raz samobójstwem tego Wierzbickiego. Z pozoru rzeczywiście wygląda to na czyste, ewidentne samobójstwo. Dotarłem ponownie do kilku osób, które były wówczas przesłuchiwane, wiesz, znajomi, bo to był rozwodnik i nie miał żadnej rodziny, jakaś kobieta, co, do której miał podobno poważne zamiary... Czy, on naprawdę zachorował psychicznie przed tym samobójstwem? Ta kobieta powiedziała, że tak, jakby zaczął się nagle bać...

- To ta urzędniczka z PKO, tak?

- Zgadza się. Więc ciągle mówił o grzechu, o konieczności okupienia win...

- Ale jakich win?

- Powiedział tylko, że Bóg go ukarał, i przyrzekł jej, że wszystko opowie... ale nie zdążył. Zaraz potem, jeszcze tego samego dnia, popełnił samobójstwo.

- No, streszczaj się trochę. W jaki sposób Bóg ukarał Karola Wierzbickiego?

- Nic było żadnego widocznego znaku tej kary, sekcja zwłok nie wykazała poważniejszego schorzenia. Przyszło mi do głowy, że cała historia miała może związek z jego rodziną. Ale tu zaczynał się kłopot. Po śmierci nikt z rodziny się nie zgłosił, nikt nic był na pogrzebie, którym zajęła się ta urzędniczka z PKO. Wierzbicki miał ponad sto tysięcy złotych na książeczce, trochę kosztowności, ale i o to nikt z rodziny się nie upomniał. Ustaliłem jednak, że przed pięćdziesiątym szóstym rokiem Wierzbicki pracował w takiej fabryczce jako mistrz, dotarłem tam. Wiesz, jakie wtedy były ankiety personalne, całe księgi. Tam, w tej ankiecie wyczytałem, że miał brata, który mieszkał w Krakowie. I chyba to ukrywał.

- Ciekawe. I co z tym bratem?

- Tu jest bomba. Został zamordowany dziesięć dni przed śmiercią Karola Wierzbickiego!

- Sprawcy ustaleni?

- Właśnie - nieustaleni. Wypożyczyłem akta, przywiozłem je. - Porucznik wyjął z teczki dwa pękate tomy o zniszczonych okładkach. - Wygląda, że morderstwo na tle rabunkowym. Był antykwariuszem, miał taki sklepik ze starymi książkami i drukami... Na zapleczu dwa maleńkie pokoiki. Sprawcy splądrowali mieszkanie, wszystko porozrzucane, ze schowka, który mieścił się za półką z książkami, wyjęta kasetka, podważone wieko. Kasetka opróżniona zupełnie. Leon Wierzbicki, bo tak miał na imię, zginął od ciosu ostrym narzędziem w klatkę piersiową, zadano dwa pchnięcia, prawdopodobnie nożem o bardzo wąskim ostrzu. Śladów włamania nie dostrzeżono, zachodzi więc prawdopodobieństwo, ŻE właściciel mieszkania wpuścił morderców albo nie zamknął drzwi, które były na zapleczu. Mimo trwającego ponad rok śledztwa nie ustalono sprawców. Z notatek wynika, że w związku z innymi sprawami często wracano przez te miesiące do zabójstwa antykwariusza, ale wszystkie sygnały okazały się fałszywe, nadal żadnych wiadomości o zabójcach.

- Ach, więc taką formę miała kara boska, która dotknęła Karola Wierzbickiego - pokiwał głową kapitan. - Powiedz tym swoim dziewczynom, żeby uzbroiły się w cierpliwość, bo porucznik Kowalczyk wyjeżdża w ważnej misji. Znów do Krakowa. I będzie tam uporczywie chodził po starych śladach Leona Wierzbickiego, które z pewnością jeszcze zostały. Wszystko, co trzeba, wypisze sobie z akt, wejdzie w serdeczny kontakt z krakowską komendą, która za chwilę zostanie o wszystkim powiadomiona. I porucznik będzie chodził po tych śladach aż do skutku. A pomoże mu to, co ustaliliśmy w naszej sprawie.

- Rozkaz - poderwał się Kowalczyk i strzelił obcasami.

- Spocznij - uśmiechnął się kapitan. - Pojedziesz nocnym pociągiem, żeby z kopyta zabrać się do roboty. Teraz odmaszerować do domu, przespać się, jeżeli potrafisz w dzień. I czekam na szybkie i konkretne wiadomości.

Kapitan polecił nadać telefonogram do Krakowa i połączył się z podpułkownikiem Jańczakiem:

- Pułkowniku, trzeba mi jeszcze ludzi do mojej sprawy.

- Człowieku, bój się Boga; przecież to nie jest jedyna sprawa, jaką się zajmujemy. Co się dzieje?

- Historia nam się rozrasta. Kowalczyk przenosi się na stałe do Krakowa. Potrzebuję przynajmniej dwóch ludzi. Wychodzi drugie morderstwo, które chyba się jakoś łączy z naszym.

Anonim nie został jeszcze dołączony do akt sprawy, miał go „w rozpracowaniu” porucznik Walkowiak z Komendy Miejskiej w Krakowie, ale rodem z Zakopanego. Był on jednym z oficerów, którzy zajmowali się tajemniczym zabójstwem Leona Wierzbickiego, a ponieważ anonim nadszedł z Zakopanego, Walkowiakowi przekazano go do wyjaśnienia. Dotyczył Heleny Jaskuły, właścicielki

domu w Zakopanem, utrzymującej się z prowadzenia pensjonatu dla dobrze sytuowanych gości.

Z treści anonimu:

... to jest, proszę wysokich władz, zwykła złodziejka. Bo skąd u niej taki dom, co to wart jest z półtora miliona złotych przynajmniej, nie licząc mebli i innego wyposażenia. Jeszcze sześć lat temu pracowała jako sklepowa, a niech mi władze odpowiedzą, jak na takiej pracy w ciągu dwóch lat zarobić dwa miliony złotych - po milion na rok. A jeszcze nic była od tego, żeby przynajmniej co drugi dzień nic zajrzeć do „Orbisu” albo „Watry”, a jakie tam ceny, to wysokie władze wiedzą. Widok takiej osoby na ulicach naszego miasta obraza nas, ludzi pracy, utrzymujących się z tego, co zarobią własnymi rękami. Prosimy, żeby zajrzeć w tę sprawę, wyjaśnić ją i podać do publicznej wiadomości, żeby ludzie wreszcie wiedzieli, że złodziejstwo nie popłaca i zawsze będzie ukarane.

Walkowiak był tylko dwa lata starszy od Kowalczyka, szybko przeszli na „ty”.

- Kojarzysz osobę? - zapytał Walkowiak.

- Tak, to ta kobieta, do której przyjeżdżał na weekendy Leon Wierzbicki. W aktach nie ma prawie nic o jej układach, czy ich wiązało coś oprócz tego, że Wierzbicki korzystał z jej pensjonatu?

- Wszystko wskazuje na to, że tak. Dlatego zbadaliśmy, „skąd u niej taki dom”. Ale tu się sprawa zupełnie skomplikowała. Rodzice tej pani zginęli w czasie wojny, innych krewnych nie miała poza bratem ojca, który wrócił ze Stanów Zjednoczonych chyba trzy albo cztery lata przed śmiercią Leona Wierzbickiego. To był już bardzo stary człowiek, prawie osiemdziesięcioletni. Bezdzienny. I właśnie ten staruszek kupił dom, a po roku zmarł. Jego jedyną spadkobierczynią była Helena Jaskuła, która objęła dom i urządziła tam pensjonat.

- A starszy pan miał tyle pieniędzy, żeby kupić dom i wyposażenie?

- Wszystko wskazuje na to, że nie, ale niczego nie można udowodnić. Komuś tam, jakiemuś staruszkowi, którego znał jeszcze ze szkoły, opowiedział podobno, że niczego się w tych Stanach nie dorobił poza rentą, która w przeliczeniach na złotówki też nie wypada tak rewelacyjnie, jak by się mogło wydawać. Ale wiesz, co znaczy takie gadanie. Przecież człowiek mógł się obawiać, że jeżeli rozejdzie się fama o jego bogactwie, mogą mu grozić różne niebezpieczeństwa...

- No, chyba wiadomo, co przewiózł przez granicę?

- Wiadomo, ale czy nie mógł mu ktoś przysyłać potem pieniędzy, czy on nie mógł komuś przysyłać przedtem i podczas pobytu w Polsce odebrać, czy wreszcie nie dokonano jakiejś historii bankowej... Człowiek nie żyje, nic nie da się ustalić, ona dziedziczy po nim zgodnie z prawem... I o niczym nie musi wiedzieć, stryj nie musiał się jej zwierzać.

- A Jaskuła już wtedy знаła Wierzbickiego?

- Prawie na pewno tak, ale „twierdzi, że dokładnie nie pamięta, kiedy się poznali

- To czuję, że będziemy się musieli przenieść jeszcze dalej na południe - powiedział

Kowalczyk.

Helena Jaskuła urządziła przyjęcie z okazji piątej rocznicy otwarcia swojego pensjonatu „Paprotka”. Wbrew uprzednim zapewnieniom przyjęcie nie było wcale takie skromne: francuskie koniaki, kawior, łosoś, nawet ostrygi. Gospodyni była około czterdziestoletnią, nieco korpulentną osobą o ładnej pogodnej twarzy. W jej towarzyskich zaletach kryła się z pewnością przynajmniej w części tajemnica powodzenia tego pensjonatu.

Oprócz gości aktualnie zamieszkujących „Paprotkę” zaproszono grono najbliższych przyjaciół gospodyni z Zakopanego, a nawet z Krakowa. Wznoszono toasty, potem stół „w piwnicznej izbie”, (czyli eleganckiej, stylowej piwnicy z dwoma kominkami) powędrował pod Ścianę i zaczęły się tańce przy muzyce z ukrytego, stereofonicznego magnetofonu.

Towarzystwo było coraz bardziej rozbawione; prym wiedli dwaj niedawno przybyli przedstawiciele krakowskiej złotej młodzieży. I trzeba byłoby ich obserwować bez przerwy, żeby usłyszeć na przykład zdanie, które szepnął niższy z nich, blondyn, jakby z warszawskim akcentem:

- Ciekawe, kto nam rozliczy takie delegacje...

- Skłonny jestem nawet puścić to w koszty własne - powiedział cicho drugi, po czym znów się rozdzielili, włączyli w krąg tańczących. Zbliżała się północ, ale nikt nie myślał o przerwaniu zabawy, zresztą wszyscy, także mieszkańcy Zakopanego, mieli zapewniony nocleg w pensjonacie.

- Jeden z moich gości źle się czuje - powiedziała w pewnym momencie gospodyni. - Wiecie, państwo, to ten, który został w pokoju. Muszę zobaczyć, co lam u niego, może potrzeba mu jakiejś pomocy, a my tak hałasujemy...

Poszła na górę, a tuż za nią wymknął się niższy ze „złotych młodzieńców”, który postanowił przebrać się w lżejszą koszulę... Prawie bezszelestnie otworzył drzwi swojego pokoju, przysunął się do ściany, przytknął do niej ucho. Początkowo słyszał dwa niewyraźne głosy, przez chwilę nie mógł rozróżnić słów, wreszcie jednak zaczął rozumieć.

- Niech pan się wczuje w moją sytuację - mówiła kobieta - przecież to było tak niewiele czasu, a ja muszę wszystko zorganizować,

- Co tu jest do organizowania - irytował się męski głos. - Albo się ma, wtedy się daje, albo się nie ma i wtedy się ponosi konsekwencje.

- Pan mi grozi?

- Jeszcze nie grozę, liczę, że pani będzie ostrożna. Nie mamy za dużo czasu, trzeba likwidować interesy.

- Musi pan jeszcze wykazać trochę cierpliwości.

- Trochę, to znaczy ile? A jeżeli wykazę cierpliwość, czy na pewno otrzymam to, co mi się należy?

- Oj, panie Nestorze, obydwójce wiemy, że nie da się dokładnie ustalić, co się komu należy...

- Przecież mówiłem pani - nie lubię imienia Nestor, nie używam go. Na imię mam Artur i tak mnie proszę nazywać, jeżeli już pani musi po imieniu.

- Przepraszam, nic się nie stało.

- Ja się tym denerwuję, proszę pani, więc nie można mówić, że nic się nie stało. Zdenerwowałem się, a jak się zdenerwuję, to mogę kogoś skrzywdzić - i po co? Więc ile jeszcze trzeba pani czasu?

- Muszę pojechać do Krakowa. To potrwa... Wszystko będzie załatwione jutro przed wieczorem.

- Więc umawiamy się: ostateczny termin to jutro, godzina dwudziesta, dobrze?

Po tych słowach młody krakowianin oderwał się od ściany, dopadł do drzwi, uchylił je bezszelestnie, wyrzwał na korytarz, szybko wysunął się na tłumiący kroki gruby, czerwony chodnik i schodami zbiegł na dół, do piwnicy. Tam włączył się znów w krąg tańczących.

Jeszcze tej nocy kapitan Krzemień poderwany został ze snu dzwonkiem telefonu. Z wieczora zażył nasenną pigułkę, dłuższą chwilę nie mógł dojść do pełnej świadomości. Oficer dyżurny przekazywał mu treść telefonogramu, który otrzymał właśnie z Zakopanego. Kapitan sięgnął po długopis i zanotował w całości:

Bawimy się dobrze w pensjonacie „Paprotka” w Zakopanem. Liczymy na pokrycie pełnych kosztów delegacji. Nes znaczy Nestor - Kowalczyk.

Kapitan odłożył słuchawkę i uśmiechnął się.

- Chłopak nie traci poczucia humoru - powiedział do siebie; potem jednak mina mu zrzedła. Spojrzał na zegarek, dochodziła czwarta i wiedział, że tej nocy już nie zaśnie, mimo że przecież wieczorem zażył luminal.

Rzeczywiście nie zasnął, ale kiedy szedł do komendy, miał gotowe dyspozycje dla wielu osób, którym zamierzał dostarczyć znużonej, niewdzięcznej pracy. Rozpoczął od wezwania dwóch wywiadowców, przydzielonych do sprawy, następnie po kilku rozmowach telefonicznych zasiadł nad starymi aktami. Nazbierało się ich aż pięć tomów, czytał je znowu, jeszcze uważniej niż poprzednio, a czytał je już czwarty raz. Kartki notesu zapełniały się jego notatkami.

W tym czasie porucznik Kowalczyk siedział na obszernym tarasie pensjonatu „Paprotka” i spod spuszczonej powiek obserwował niemrawą poranną krzątanicę sąsiadów: otwieranie okien, wyglądanie przez próg na dwór, żeby stwierdzić, jaka jest pogoda i w co się ubrać. Po mieszkańcach pensjonatu znać było trudy minionej nocy.

Porucznik Walkowiak, siedząc za kierownicą służbowego Fiata, zbliżał się do granic Krakowa. Przed sobą miał tył jadącego z dużą szybkością Volkswagena, prowadzonego przez Helenę Jaskułę.

Kowalczyk szczególną uwagę zwracał na okno najbliższej sąsiadujące z pokojem, który zajmowali wraz z Walkowiakiem. W pewnym momencie otworzyło się ono, na chwilę ukazała się w nim szczupła, ostra twarz młodego mężczyzny. Stan zdrowia gościa nie był aż tak poważny, jak można by wywnioskować ze słów troskliwej gospodyni pensjonatu: Kowalczyk spostrzegł, że mężczyzna wykonuje przy otwartym oknie intensywną gimnastykę. Przypominała forsowny trening boksera przygotowującego się do ciężkiego pojedynku.

- Może i masz rację - mruknął do siebie Kowalczyk. - A poza tym zawsze mnie uczono: w zdrowym ciele, zdrowy duch.

Po kilkunastu minutach mężczyzna ten wyszedł z pensjonatu, przeszedł obok Kowalczyka, zbliżył się do stojących na parkingu samochodów, otworzył drzwi czerwonego Fiata 850, włączył motor i odjechał w kierunku miasta. Kiedy samochód zniknął za zakrętem, Kowalczyk powoli wstał i wszedł do budynku. Z okien swojego pokoju śledził przez długą chwilę drogę oddalającego się samochodu, potem zamknął okno i wyszedł na korytarz.

Niedziela, parno, stojące powietrze. Niskie chmury, niedługo pewnie spadnie deszcz. Rano jakieś stare filmy w telewizji, oglądam je z przyjemnością, coraz częściej zdarza mi się myśleć, że W tamtych czasach żyło się chyba w sumie spokojniej niż teraz, człowiek nie był rozrywany na wszystkie strony różnymi możliwościami i nie kończyło się to tak jak obecnie: nie zostawał wreszcie na środku, niezdecydowany, dokąd iść, czemu się poświęcić. Może trochę przesadzam, może tak myślę dlatego, że ostatnio nie dzieje mi się najlepiej. Tak czy owak te stare filmy lubię chyba nawet bardziej niż współczesne.

Potem wyszedłem z domu. Jakaś dziewczyna z sylwetki przypominająca Joannę... Szybciej uderza mi serce. Nonsens, obca twarz, że też nie można poskromić takich odruchów, głupich myśli, które powodują gwałtowne podniecenie. Może to częściowo przynajmniej wynikało ze wskazówek kapitana, który prowadzi sprawę zabójstwa Joanny, ale prawie bez przerwy myślę o tym, co mi mówiła, powracają różne jej słowa, staram się chodzić tymi ulicami, którymi chodziliśmy kiedyś razem. Wczoraj przed zaśnięciem przypomniałem sobie pewne dziwne zdanie, które powiedziała wczesną wiosną.

Była świetna pogoda, przechodziliśmy obok filharmonii. Zatrzymałem się przed wystawą księgarni, Joanna trzymała mnie pod ramię.

- Wiesz, tu jest zdaje się niezła kawiarnia - powiedziałem. - Może wstąpimy.

- „Pod Kurierem”? Znam tę kawiarnię.

- Bywasz tam? Lubisz ją?

- Nie - odparła po chwili. - Ale często tam chodziłam.

- Dlaczego? - zapytałem.

Nie odpowiedziała mi, skierowała moją uwagę na jakąś książkę. Teraz przypomniałem sobie tę

rozmowę, właśnie przechodziłem koło domów Centrum, zbliżałem się do tej kawiarni.

Nie lubiła tam chodzić, a często mimo to bywała? Czy chciała się umartwiać? A może musiała? Skręciłem w ulicę Sienkiewicza, minąłem wystawę księgarni i znalazłem się naprzeciwko dużych okien baru kawowego, który jest na parterze, kawiarnia mieści się na pierwszym piętrze. Za szybą, przy wysokim stołku - brodaty mężczyzna przez krótką chwilę przyglądał mi się z uwagą, a następnie szybko odwrócił twarz w kierunku barmanki. Wszedłem schodami do kawiarni, uważnie obejrzałem siedzących tam ludzi. Nikogo znajomego, byłem tu tylko raz kilka lat temu.

Wracałem wolno, myślałem, że niepotrzebnie tam zachodziłem, nie miałem właściwie na co liczyć. Czego się spodziewałem?

Znów mijam szybę oddzielającą pomieszczenie baru od ulicy, odruchowo spoglądam do wnętrza - stołek, przy którym siedział brodacz, jest teraz pusty. Może mężczyzna poszedł do bufetu coś sobie kupić? Zbliżam twarz do szyby, dokładnie lustruję wnętrze baru. Nie ma go, musiał wyjść właśnie w tym czasie, kiedy ja byłem na górze. Na stoliku została nie dopita, właściwie ledwie napoczęta butelka soku pomarańczowego.

Co go tak wywiało z kawiarni? - pomyślałem. - Przecież chyba niemożliwe żeby przestraszył się mnie, nie znam człowieka, chociaż... Było jakby coś znajomego w jego twarzy, może widziałem go kiedyś bez wąsów i brody, bez długich włosów, a to wszystko bardzo zmienia wygląd...

Obejrzałem się w stronę Marszałkowskiej, dobiegłem do ulicy Jasnej i spojrzałem w jej głąb - w obydwu kierunkach - potem w pasaż, którym przechodzi się na plac Powstańców. Właśnie w tym pasażu mignęła mi plama brązowej kurtki i zaraz zniknęła za rogiem; tamten mężczyzna był ubrany w zamszową krótką kurtkę w kolorze brązowym. Przebiegłem kilkadziesiąt metrów i zdołałem zauważyć, jak wbiegał do kawiarni „Domu Chłopa”. W drzwiach obejrzał się i chyba mnie dostrzegł.

Dopiero kiedy wpadłem do „Domu Chłopa” uświadomiłem sobie, że zupełnie nie wiem, co bym zrobił, gdybym dopędził tego mężczyznę. Uciekał przede mną? A jeżeliby nawet przyszło mu do głowy coś takiego, to o czym by to mogło świadczyć? Gdyby musiał już odpowiedzieć na takie pytanie, odpowiedziałby na przykład, że siedząc „Pod Kurierem” nagle przypomniał sobie, że jest umówiony w kawiarni „Domu Chłopa”. Przebiegłem jednak hall, zajrzałem do baru samoobsługowego, do restauracji, do mieszczącej się na pół piętrze kawiarni. Brodacza nigdzie nie było. Zszedłem nawet na dół do toalety, ale i tam go nie znalazłem.

Najprawdopodobniej więc wbiegł jednymi drzwiami, zza tych pewnie mnie obserwował, a kiedy spostrzegł, że i ja się do nich kieruję, pobiegł do drugich, wyjściowych. W ten sposób znalazł się na ulicy i mógł spokojnie odejść, kiedy ja lustrowałem kolejne pomieszczenia.

Zastanawiałem się chwilę, czy nie powiadomić o tej dziwnej scenie mojego kapitana, ale doszedłem do przekonania, że mam mu zbyt mało do powiedzenia, może mi się jeszcze coś przypomni, coś konkretnego, wtedy do niego zatelefonuję. Wracałem tą samą drogą, pasażem, obok filharmonii do Marszałkowskiej.

Kiedy wchodziłem do domu, zadzwonił telefon. Podniosłem słuchawkę, ale nikt się nie

odezwał, panowała cisza, potem usłyszałem lekki trzask.

Młody wywiadowca Walczak kolejny raz wykręcał numer domowego telefonu kapitana Krzemienia. Ciągle równomierny, przeciągły sygnał...

Walczak kilka razy obszedł dokoła budkę telefoniczną, obejrzał swetry na wystawie i znów wrócił do automatu, Po kilkunastu sekundach wreszcie odezwał się głos kapitana Krzemienia:

- Słucham.

- Dzwonię do pana kapitana już ładnych kilkanaście minut, ale nikt nie podnosił słuchawki, Walczak mówi...

- Wiem, jeżeli się przedstawicie, to na wstępie, potem to już musztarda po obiedzie - przerwał mu kapitan. - Domyślam się, że macie coś ważnego, bo kazałem do domu przekazywać mi tylko ważne sprawy.

- Trudno mi ocenić, panie kapitanie, ale wydaje mi się, że to będzie ważne. Zgodnie z rozkazem szedłem za Ziębą, miałem po drodze możliwość zadzwonić do Kamińskiego, który miał mnie zmienić. Powiedziałem mu, że idziemy Marszałkowską od placu Konstytucji do domów Centrum, dogonił mnie przy tych domach, przekazywałem mu takie drobiazgi, wie pan kapitan... I szliśmy za podopiecznym, a on skręcił nagle w Sienkiewicza i wszedł do kawiarni „Pod Kurierem”. Tam ja zostałem przy księgarni, zawróciłem, Kamiński wszedł do środka. Zacząłem iść do Jasnej, aż słyszę szybkie kroki, kłusuje brodacz w brązowej kurtce, leci w ten pasaż. Odruchowo ruszyłem za nim, bo to w takiej sytuacji nigdy nie wiadomo, co się może zdarzyć, wbiegam między te słupy, stoję za jednym i widzę brodacza, jak pędzi do „Domu Chłopa”, a z tyłu, zza tej księgarni wybiega Zięba i goni za nim co siłą. Brodacz wpadł do „Domu Chłopa” i tu Zięba się sfrajerował, bo wpadł za nim, a ja sobie stanąłem spokojnie na tych schodach przy restauracji „Stolica” i patrzę, co się dzieje. Nie minęło pół minuty i z drugich drzwi wysuwa się czarna broda, facet rozgląda się, dochodzi do błędnego wniosku, że nikt go nie obserwuje...

- Czy nie możecie się trochę streszczać? - kapitan przerwał potok słów Walczaka.

- Ja tylko najważniejsze, chciałem, żeby dokładnie i nie pominąć żadnych szczegółów - kontynuował Walczak nie spieszony. - Więc wysunął się z tych drzwi, szybko do Wareckiej i przepada za rogiem. Dobiegam do tego rogu, mam go, idzie do Nowego Świata, ogląda się do Świętokrzyskiej, łapie pospieszną detkę i rozpoczyna podróż w kierunku Pragi, a wraz z nim wywiadowca Walczak, niestety na gapę, bo ma miesięczny, ale tylko na normalne...

- Dobrze, że nie mam was tu bliżej - przerwał kapitan - bo chyba bym czymś rzucił. Masz tego faceta, człowieku, czy nie?

- Nie zatrzymałem go przecież, bo za co? Stoję pod domem, gdzie się ukrył, z domu jest jedno wyjście, ale nie chciałbym zostać sam, jeżeli to naprawdę ważny facet. Jestem w budce na ulicy Środkowej i proszę o pomoc. Poza tym chciałem zameldować, że jestem blisko osobistej tragedii, bo umówiłem się na randkę, uczucia podporządkowałem służbie, ale nie wiem, czy znajdę zrozumienie...

- Dam ci na piśmie zaświadczenie i przestańże wreszcie, bo mnie uszy bolą. Dam ci zaświadczenie na piśmie, ale wniosę tam zastrzeżenie, że o ile chce pozostać przy zdrowych zmysłach, niech broń Boże za ciebie nie wychodzi, bo zagadasz ją na Śmierć lub wpędzisz w ciężką chorobę, niech się z tobą spotyka, ale nic dłużej niż dwie godziny dziennie.

- Szczerze mówiąc to dla mnie w sam raz, panie kapitanie. Ja nie jestem taki zachłanny, jak to się zdarzają mężczyźni, co chap i zaraz chce na własność...

- Pilnuj brodacza - głos kapitana zabrzmiał służbowo i Walczak zorientował się, że koniec żartami. - Za kwadrans powinieneś otrzymać posiłki. Człowiek, który przyjdzie, otrzyma dokładniejsze instrukcje, co robić. Mam nadzieję, że Kamiński nadal zajmuje się Ziębą, nie chciałbym być w jego skórze...

- Za Kamińskiego rękę własną... to znaczy chciałem powiedzieć własnym małym palcem.

- Nic mi po waszych poręczeniach. Nie zauważyliście, jak się zachował Kamiński?

- Nie zauważyłem. Ziębę oddałem Kamińskiemu i to już jego sprawa, mogę tylko powiedzieć, że takie przebieżki to dla niego nic wielkiego, przy mnie miał na naszej spartakiadzie 11,4 na setkę.

- Dobrze. Trzymajcie się.

W „Paprotce” sprząta się między dziesiątą a południem, gospodyni prosi gości, żeby w tych godzinach nie zostawiali zamkniętych pokoi. O kradzieże nie ma się co martwić, oczywiście ponosi ona pełną odpowiedzialność za wszystkie rzeczy gości, z wyjątkiem biżuterii, którą chętnie przechowa u siebie, gdzie będzie bezpieczna. To są jednak zapewnienia dawane na wszelki wypadek, bo w czasie pięcioletniej historii pensjonatu nie zanotowano ani jednego wypadku kradzieży.

Porucznik Kowalczyk rozejrzał się po korytarzu. Było cicho i pusto. Chwilę nasłuchiwał, potem delikatnie zapukał do drzwi sąsiedniego pokoju. Klucz tkwił w dziurce. Na pukanie nikt nie odpowiedział, porucznik nacisnął klamkę; drzwi nie ustąpiły, przekręcił więc klucz i wsunął się do środka. Stojąc w progu wyjął klucz, wsadził go do dziurki od wewnątrz i przekręcił w zamku. Zbliżył się do nocnej szafki, ostrożnie wysunął szufladę.

Odgarnął przybory toaletowe, przejrzał całą szufladę. Żadnych dokumentów, żadnych papierów. W kieszeniach ubrań wiszących w szafie znalazł jedynie papierosy, drobne monety, Zużyte bilety z warszawskich tramwajów i autobusów. Rozejrzał się wokół, odgiął nawet poduszkę i materac: nic. Stał na środku pokoju, już skierował się do drzwi, jednak zawrócił, znów podszedł do szuflady. Wyjął z niej puste etui na przybory toaletowe, wsunął rękę do wnętrza. Też nic, ale... mała kieszonka z boku, prawdopodobnie na zyletki. Palcem wyczuł w niej jakiś złożony papier. Wydostał go.

Był to kwit z prywatnej pralni chemicznej potwierdzający oddanie dwóch ubrań do czyszczenia. Opiewał na nazwisko Nestora Paliżyto, zamieszkałego w Warszawie przy ulicy Środkowej 40.

Kowalczyk szybko wsunął kwit na miejsce, na kartce zapisał nazwisko i adres, po czym

skierował się do drzwi. Przekręcił klucz w zamku, wysunął głowę na korytarz, ale nie zobaczył prawie nic: widok zasłaniała postać mężczyzny, który trzymał pistolet na wysokości brzucha.

Porucznik odruchowo cofnął się kilka kroków, mężczyzna, mieszkaniec tego pokoju, wszedł za nim i nie oglądając się lewą ręką przekręcił klucz w zamku. Cały czas patrzył na Kowalczyka, lufa pistoletu skierowana była w piersi porucznika.

- Przepraszam szanownego pana - powiedział cicho Paliżyto. - Zupełnie nie przygotowałem się na te wizytę i strasznie mi z tego powodu przykro. A u Kamyczka stoi napisane, że uprzedzamy się o wizytach, prawda?

- Przepraszam, tu zaszła jakaś pomyłka, jest pan bardzo podobny do mężczyzny, z którym zdradza mnie moja żona, więc powodowany zazdrością dopuściłem się...

- Bez komedii, dobrze? No, opróżniaj kieszenie, tylko bez żadnych cudów, bo ja się nie znam na żartach. Zupełnie zatraciłem poczucie humoru.

Kowalczyk wyjął dokumenty, pieniądze, klucze i położył to na stole. Po chwili dołożył papierosy, zapalniczkę i chusteczkę do nosa.

- Wszystko? A mnie się wydaje, że coś cię jeszcze pije pod pachami, nieprawdaż? Moi przyjaciele muszą mieć wygodę, taki już jestem. No, rozepnij tę modną kurteczkę, przyjacielu.

Kowalczyk rozpiął guziki kurtki, pas z pistoletem odłożył na stół.

- No, a teraz parę kroczków w tył, tylko nie w kierunku okna. O, w tamten kącik, jeżeli można prosić. Porucznik? - przeczytał z legitymacji służbowej. - A taki jestem nieskromny i już myślałem, że stać mnie na kapitana. Czego tu szukałeś?

- Nie wiedziałem, czego szukam - powiedział Kowalczyk.

- A jednak coś znalazłeś - wyjął spośród banknotów przed chwilą zapisaną kartkę. - I pewnie byś szybko awansował, gdyby nie pewne komplikacje, które właśnie wystąpiły. Teraz słuchaj. Jeszcze raz ci mówię, że nie znam się na żartach. Nie - będziemy tu urządzali żadnej Bonanzy, to przyzwoity pensjonat, więc spokojnie wyjdziemy stąd, wsiądziemy do mojego skromnego fiacika, tobie powierzę kierowanie tym pojazdem, a sam sobie siądę z tyłu. I pojedziemy, gdzie ja powiem, dobrze? Zrobisz to, bo jesteś niepoprawnym optymistą i liczysz na Jakieś cuda, a cudów nie ma, kiedy lufa dotyka do karku. Ale ty liczysz, że kiedyś odsunę tę lufę, dlatego pójdiesz. Idziesz pierwszy, ja dwa kroki za tobą z odbezpieczonym pistoletem pod połą kurtki. Idziemy.

Kowalczyk przeszedł obok Paliżyty, lekko drgnął przy drzwiach, ale noga tamtego przytrzymała drzwi, powoli wyszli na korytarz, było pusto, zeszli na dół, tam też nikogo, wsiedli do Fiata 850, zaparkowanego teraz na tyłach pensjonatu, i odjechali - oddalając się od centrum Zakopanego.

Wywiadowca Walczak nie doczekał się pomocy. Wkrótce po zakończeniu rozmowy z kapitanem zobaczył, że brodaty mężczyzna wychodzi z bramy. Ubrany był inaczej niż przedtem, miał na sobie lekki, płócienny garnitur i fioletową koszulę; jego broda była teraz krótko przystrzyżona, a wąsy - też

skrótowe - podkreślone ku górze.

Szybkim krokiem skierował się do przystanku autobusowego, jednak zatrzymał się nagle przy zaparkowanym na skraju jezdni Volkswagencie, wsiadł do samochodu i odjechał. Walczak biegł za nim chwilę, ale prędko zrezygnował, to nie miało sensu. Na ulicy było paru przechodniów, stała zaparkowana stara Warszawa. Za rogiem, na postoju taksówek Walczak zauważył kilka wolnych samochodów.

Dobiegł tam, wsiadł do jednej z taksówek, ale kiedy kierowca zapytał, dokąd mają jechać - nie bardzo wiedział, co mu powiedzieć.

- Do Śródmieścia - mruknął po kilkusekundowym wahaniu. Oczywiście Volkswagen był już daleko i jechał w nie znanym Walczakowi kierunku. - Zresztą niech pan sianie - wywiadowca położył na siedzeniu dziesięć złotych. - Rozmyśliłem się.

Kierowca wzruszył ramionami i zatrzymał samochód.

- Jak pan sobie życzy. I warto było ruszać z postoju?

- Nie warto - odparł Walczak. - Ale wszyscy popełniamy błędy, proszę pana.

Ujechali zaledwie kilkadziesiąt metrów, wywiadowca wrócił na ulicę Środkową, gdzie po chwili zahamował Fiat na zwykłej, miejskiej rejestracji, ale Walczak znał ten numer, znał też jednego z dwóch cywilów, którzy siedzieli w tym samochodzie.

- Niedobrze, Marek - powiedział do wysiadającego. - Miał tu wóz, nic nie mogłem zrobić. Przekaż wszystko kapitanowi Krzemieniowi. Koniec akcji. Ja tu zostanę, na wypadek, gdyby ptaszek wrócił. Albo ty zostań, mnie pewnie zapamiętał.

Przekazał rysopis brodacza, wsiadł wraz z drugim wywiadowcą do samochodu i odjechali.

Czy widziałem już tego człowieka, czy też zaszła jakaś pomyłka? Swoją drogą nie bardzo można wierzyć w pomyłki w sytuacji, w jakiej się znalazłem. Więc tego mężczyznę zaalarmowałem sam mój widok, nie był przygotowany na spotkanie ze mną, nie wytrzymał, bo jeżeliby został - pewnie poszedłbym dalej, pomyślałbym, że coś mi się przywidziało, ot człowiek podobny do kogoś, kogo kiedyś spotkałem.

Jednak uciekał, wyraźnie uciekał przede mną. Idźmy po kolei... Co mogło mu grozić z mojej strony? Przecież nie bał się, że zrobię mu jakąś fizyczną krzywdę, to byłaby bzdura. Co zatem pozostaje? Chyba to tylko, co sugerował kapitan: obawiał się, że z czymś go sobie skojarzę. Tak, na pewno chodziło o to. Ale tu staję bezradny: z czym mógłbym go skojarzyć, z jakim zdarzeniem, kiedy się ono rozegrało?

Inaczej... Co przykuło moją uwagę, jaki szczegół wyglądu? Obecnie nosi brodę, powiedzmy, że przedtem, kiedy go spotkałem - nie miał brody. Pozostają więc części twarzy, których nie przykrywa broda: nos, oczy, czoło. Czoło jest z trzech elementów najmniej charakterystycznym fragmentem

twarży. Więc co, oczy?

Tak, jestem przekonany, że to oczy. Ale ja nawet nie potrafiłbym teraz powiedzieć, jakiego koloru były oczy mężczyzny, którego widziałem dzisiaj w barze! Czy możliwe więc, żebym właśnie z powodu oczu mógł skojarzyć jego wygląd z wyglądem kogoś, kogo niedokładnie zapamiętałem z przeszłości? Czy to jest jednak co innego, inny szczegół?

Volkswagen Heleny Jaskuły mknął między przedmiejskimi domkami, już z boku została pierwsza fabryka, mieszkalne bloki. Mignął niebieski tramwaj. Samochód nieco zwalnia. Za nim z identyczną prędkością jedzie maty Fiat, który prowadzi porucznik Walkowiak. Przed mostem Fiat zatrzymuje się na chwilę. Stoi tam Warszawa, a przy niej brunet o nerwowych ruchach. Porucznik tylko przez moment rozmawia z brunetem, tamten wsiadł do samochodu, jedzie za Volkswagenem. Walkowiak robi szybki zakręt na szosie i wraca w kierunku Zakopanego.

Tymczasem Warszawa zagłębiła się w gąszcz staromiejskich uliczek. Volkswagen zaparkował przy krawężniku, Jaskuła weszła do placówki PKO, za nią podążył niewysoki brunet, który natychmiast ustawił się w kolejce, wyjął książeczkę i zaczął wypełniać odcinek. Kątem oka obserwował Jaskułę posuwającą się w kierunku sąsiedniego okienka. Zauważył, że kiedy doszła do kasjerki, podała książeczkę, ale prócz niej żadnego dokumentu. W książeczce PKO tkwiła tylko jakaś kartka.

- Kiedy brunet przeglądał tabele szczęśliwców, którzy wygrali samochody, Helena Jaskuła pobrała trzy paczki tysiąc złotych banknotów. Zaraz potem wyszła, ale nie skierowała się do swojego zaparkowanego w pobliżu samochodu; przecięła na ukos jezdnię i szybkim krokiem szła w kierunku rynku.

W jednej z bocznych uliczek wstąpiła do ukrytego w bramie zakładu zegarmistrzowskiego. Po chwili wychyliła się stamtąd łysa głowa mężczyzny, który rozejrzał się dokładnie na wszystkie strony, po czym zamknął drzwi, a za szybą pojawiła się tabliczka z wyrysowanym dymiącym talerzem i niebieskim napisem: *Przepraszamy, przerwa obiadowa.*

Zanim kobieta wyszła z zakładu zegarmistrzowskiego - niewysoki brunet, który ją obserwował, zdołał wypalić kilka papierosów i przeczytać w gazecie całą i rubrykę ogłoszeń drobnych. Jaskuła spieszyła się, widać było po niej, że jest mocno zdenerwowana. Za wychodzącą znów wychyliła się głowa łysego mężczyzny.

Rozejrzał się uważnie, ale nie dostrzegł nic niepokojącego, brunet stał przy oknie na klatce schodowej przeciwnego domu. Kiedy łysa głowa schowała się, brunet bez pośpiechu opuścił swój posterunek, z łatwością dopędził kobietę i szedł kilkanaście kroków za nią.

Coś takiego przeżywają chyba ludzie, którym po długim okresie ślepoty przywrócono wzrok. Bez żadnego wyraźnego powodu nadpłynęły obrazy sprzed kilku lat; tkwiły gdzieś głęboko we mnie, zepchnięte na dno pamięci przez zdarzenia aktualne. A może świadomie czy nieświadomie chciałem o tym zapomnieć? Zobaczyłem twarz człowieka, który dziś przede mną uciekał, inną wtedy, bez wąsów i brody, wychudzoną; twarz lekko uniesioną nad poduszkę i oczy, wpatrzone we mnie czujnym, drwiącym spojrzeniem.

- Cóż to, poruczniku, gdzie pańskie serce? Chce pan mieć człowieka na sumieniu? Ze mną nie można się szarpać, puszcza szwy i przejadę się na tamten świat. Weźmie to pan na swoje milicyjne sumienie?

Wszystko to dzieje się w szpitalu więziennym w Warszawie, przy ulicy Rakowieckiej. Gmach prócz szpitala mieści również zwykłe więzienie, a ja załatwiam tam coś, bodaj przesłuchuję oskarżonego, który w drugiej sprawie jest świadkiem. Z pokoju przesłuchań wywołano mnie w związku z zupełnie innym dochodzeniem, które równocześnie prowadziłem.

Sprawa nie wyglądała poważnie, ale coś w niej zastanawiało. Dotyczyła włamania do sklepu elektrotechnicznego i kradzieży tranzystorowych radiodbiorników, magnetofonu i taśm magnetofonowych. Sprawcami byli Janusz Owczarek i Nestor Palizyto, obydwaj niekarani, niepracujący, notowani jako podejrzani o handel obcymi walutami. Wyrodni synowie z tak zwanych dobrych rodzin.

Włamanie dosyć prymitywne, urwany skobel, na który zamknięte były drzwi prowadzące do zaplecza sklepu. -Sprawców spostrzegł przez okno emeryt chorujący na bezsenność, a że już świtało, emeryt widział wszystko dokładnie. Telefonicznie powiadomił milicję, ale kiedy radiowóz przyjechał na miejsce, włamywacze już zbiegli.

Emeryt podał dokładne rysopisy sprawców, co przyczyniło się do ich szybkiego ujęcia. Byli to według niego mężczyźni młodzi i wysocy, obydwaj w dżinsach, jeden w różowej koszuli, drugi w białej z napisem „Hendrix”. Ten ostatni miał na głowie czapkę z płótna z długim daszkiem i napisem „Polmo”.

Włamywacze wpadli w sposób bardzo typowy, który świadczył o naiwności albo o nadmiernym ryzykanctwie - zatrzymano ich po prostu na bazarze przy ulicy Lubelskiej, w momencie, kiedy usiłowali sprzedać kradzione przedmioty. Sprawa była niby prosta, ale coś w niej zastanawiało - na przykład dlaczego emeryt zawiadomił milicję dopiero, kiedy mężczyźni opuszczali sklep; gdyby stało się to wcześniej, włamywacze zostaliby zatrzymani jeszcze w sklepie. Postanowiłem przesłuchać go ponownie, żeby to wyjaśnić.

- Przedtem była cisza, leżałem i czytałem książkę, nic nie zwróciło mojej uwagi - zeznał- - W pewnym momencie usłyszałem brzęk tłuczonej szyby, poderwałem się i podbiegłem do okna. Zobaczyłem ich w otwartych drzwiach sklepu - od strony zaplecza. Właśnie poprawiali torby, mieli dwie torby wypchane pewnie kradzionymi rzeczami. Byli zupełnie bezczelni, właściwie wcale się nie spieszyli. Ten w różowej koszuli dostrzegł mnie w oknie, zanim zdołałem się cofnąć. I wie pan, co on zrobił? Zagrał mi palcami na nosie, o tak. Potem złapali swoje torby i zniknęli między blokami. Radiowóz przyjechał po pięciu minutach, ale ich już nie było. To wszystko.

- Zaalarmował pana brzęk tłuczonego szkła. Zauważył pan, jaka szyba została wybita?

- Zeznałem już, że samego momentu wybijania nie widziałem, słyszałem tylko brzęk. O szybie przypomniałem sobie dopiero wtedy, kiedy tamci odeszli. Obejrzałem wszystko dokładnie i stwierdziłem, że wybite jest tylko małe okienko prowadzące na zaplecze.

- I stało się to w momencie, kiedy już wychodzili ze sklepu, więc ta szyba w niczym im nie przeszkadzała, prawda?

- Na to wygląda - powiedział. - Drzwi mieli otwarte, to w czym przeszkadzało im okienko?

- Nikt poza panem nie obserwował włamywaczy?

- Nie, nie widziałem nikogo. Ten brzęk nie był aż tak bardzo głośny, gdybym spał, z pewnością bym się nie obudził. Kiedy przyjechał radiowóz, sam zszedłem na dół. Dopiero po kwadransie przyszła mleczarka, ale ona niczego nie widziała. Zobaczyła radiowóz, milicjantów i dlatego przyszła.

Ujęci na bazarze sprawcy przyznali się do dokonania włamania, wszystko się zgadzało. Rysopisy, stroje; ukradzione rzeczy odzyskano. Owczarek i Paliżyto zostali aresztowani, zamierzałem bardzo szybko zakończyć dochodzenie.

Sprawa skomplikowała się zupełnie niespodziewanie. Owczarek, jak to mówią więźniowie, „zrobił połyk”, czyli połknął kawałek metalowego uchwytu od wiadra. Ze względu na rozmiary tego przedmiotu, można go było wydobyć tylko drogą operacji. Chłopak skarżył się na mocne bóle, przewieziono go więc do więziennego szpitala, gdzie pomyślnie dokonano operacji. Owczarek czuł się jednak kiepsko, jeszcze przez dłuższy czas miał pozostawać w szpitalu.

Ostatni raz widziałem go w czasie przesłuchania. Cieszył się dobrym zdrowiem, humor mu dopisywał, nic nie wskazywało na to, że za kilka dni zrobi bez żadnej widocznej przyczyny coś tak ryzykownego i pozbawionego sensu. Z doświadczenia wiedziałem, że „połyki” to chwyt recydywistów, którzy w ten sposób wyrażają swój protest przeciwko traktowaniu Ich inaczej, niż tego sobie życzą - albo też tą drogą chcą osiągnąć jakieś korzyści. Owczarek znalazł się w więzieniu pierwszy raz w życiu i przebywał w nim zaledwie dwa tygodnie. Nie był człowiekiem prymitywnym, jak inni połykacze, wydawał się mieć normalnie rozwinięty instynkt samozachowawczy.

Tamtego dnia, zaraz po przyjeździe do więzienia, skontaktowałem się z lekarzem, który opiekował się Owczarkiem. Dowiedziałem się, że Owczarek wraca do zdrowia powoli, wystąpiły jakieś komplikacje. W czasie przesłuchania zawiadomiono mnie, że zatrzymany został gryps, czyli nielegalny list, pisany prawdopodobnie przez Owczarka. Wynieść go miał człowiek zwalniany z więzienia ze względu na stan zdrowia. Szybko zakończyłem przesłuchanie, żeby zająć się tym grypsem.

List stanowił łamigłówkę, niewiele mogłem z niego zrozumieć. Zawierał kilkanaście dziwnych zdań, zapisanych na kartce wyrwanej ze szkolnego zeszytu. O włamaniu mowa była tylko w jednym zdaniu i zapamiętałem je, bo dotyczyło sprawy. Brzmiało ono bodajże tak: *„Wpadliśmy, ale to normalne ryzyko zawodu, nie ma się czym martwić, są poważniejsze kłopoty”*. Poza tym coś jeszcze o jakiejś *„małej, której nie może zabraknąć nawet ptasiego mleka”* i która nie powinna mieć za dużo czasu na rozmyślanie. Reszta wydawała się niezrozumiała.

List był oczywiście bez koperty, nie znalazłem też na nim żadnego śladu dotyczącego adresata. Człowiek, który miał wynieść kartkę z więzienia, był chorym na gruźlicę recydywistą, wiedziałem, że

niczego od niego nie wyciągniemy.

- Pewnie, że wiem, do kogo jest gryps - powiedział mi. - Jasna sprawa, jak wynoszę za mury, to nie po to, żeby wyrzucić do kosza. Nie będę przed panem pajacować, że nic nie wiem. Ale nie pęknię, niech skonam, nie pęknię. Nie jestem kapuś. Możecie mnie nawet tylko za ten gryps zatrzymać w kryminale, a ja i tak nie pęknię.

Szybko zrezygnowałem z dalszych pytań, widać było, że to nie ma sensu. Bez przekonania zagroziłem mu odpowiedzialnością za utrudnianie dochodzenia. Uśmiechnął się tylko i nic nie powiedział. Tu już niczego nie można było zrobić, pozostawała rozmowa z Owczarkiem.

Zwróciłem się z tym do lekarza, niechętnie wyraził zgodę na krótkie widzenie się z chorym zaznaczając, że nie powinien się on denerwować, a w żadnym wypadku nie wolno mu wykonywać gwałtownych ruchów.

Wszedłem do pokoju, w którym leżał, oprócz niego było tam jeszcze dwóch pacjentów, obydwoj spali. Owczarek uśmiechnął się na mój widok

- O, witam pana porucznika - powiedział cicho. - Chyba się domyślam, jaki jest cel pańskiej wizyty.

- No, jaki? Chciałem zapytać, jak się pan czuje, prawda?

- Nie słyszałem, żeby milicjanci często składali takie kurtuazyjne wizyty.

- Przyszedłem porozmawiać z panem o tym papierku - wyjąłem z teczki gryps i pokazałem mu go. - Nic powinien pan się męczyć, proszę więc do rzeczy.

- A skąd panu przyszło do głowy, że ja mogę coś wiedzieć o tym papierku?

- Pański charakter pisma, pańskie inicjały pod tekstem. To chyba wystarczy? Interesuje mnie, do kogo pan wysyłał list i co znaczą jego niektóre fragmenty.

- I co, jeżeli założymy, że to istotnie ja napisałem list, myśli pan, że zaraz wszystko opowiem?

- Zaraz, czy nie zaraz. A co, czy ma pan jakieś szczególne powody, żeby nic na ten temat nie mówić?

- Żeby tak nie gadać w ciemno: to ja napisałem ten list. Zadowolony pan?

- Wiedziałem to i bez pańskiej uprzejmości. A kto jest adresatem?

- No, widzi pan, tu się zaczyna kłopot. Jak pan wie, jestem po dosyć ciężkiej operacji, sił ubyło, pamięć już nie ta. Słowem zupełnie zapomniałem, do kogo pisałem. Ale nie tracę nadziei, pewnie sobie kiedyś przypomnę. Zresztą złapaliście mojego kuriera. Czyżby on też zapomniał? To byłby już paskudny zbieg okoliczności.

- On pamięta, tak samo, jak i pan. Więc nie ma pan ochoty powiedzieć nic więcej?

- Skąd, ochotę to ja mam. Możemy porozmawiać o tym grypsie. O ile potrafię, chętnie wyjaśnię wszelkie niedomówienia.

- Na żarty to znów ja nie mam ochoty ani czasu. Muszę pana przesłuchać w związku z tym listem. Jako podejrzanemu wolno panu odmówić odpowiedzi na wszystkie pytania, łącznie z pytaniami dotyczącymi listu. Jeżeli pan odmówi wyjaśnień, protokół będzie krótki. Jeżeli pan źle się czuje, możemy to wszystko odłożyć. No więc - co robimy?

- Będę zeznawał.

- Dobrze - usiadłem przy stoliku, wyjąłem z teczki blankiet protokołu i długopis. Zacząłem wypełniać wstępne rubryki, datę, miejscowość - kiedy usłyszałem raptowne skrzypnięcie sprężyn.

Poderwałem się, Owczarek, ciężko dysząc, leżał na łóżku, a „gryps” trzymał w ręku.

- Dawaj tę kartkę - mówię, zbliżając się powoli do niego. Jego wzrok jest czujny, drwiący.

- Cóż to, poruczniku, gdzie pańskie serce - mówi. - Chce pan mieć człowieka na sumieniu? Ze mną nie można się szarpać, popuszczają szwy i przejadę się na tamten świat.

Gryps trzyma w lewej ręce, prawą odgina kołdrę, odsłania brzuch z dużym opatrunkiem przyklejonym plastrami.

- Proszę się nie zbliżać, bo zerwę to. Ja nie żartuję, pan już wie...

- Ale po co to robicie? Przecież niezależnie od grypsu i tak przyznajecie się do wszystkiego. Na cóż ta cała komedia?

- Więc pan też wie, że w grypsie nie ma nic wielkiego. Nudziło mi się, to napisałem. Ale pan mi się nie podoba. Nie wyobraża pan sobie, co to za frajda popsuć glinie trochę krwi.

- Oddaj i tak nie dasz rady go zniszczyć. Co z nim zrobisz?

- Po prostu zjem.

- Przecież twój żołądek nie przyjmie tego papieru, dostaniesz torsji i wtedy może cię rzeczywiście trafić szlag.

Zbliżam się wolniutko, z wyciągniętą ręką. On zwija list w kulkę, wkłada go do ust.

Naciskam przycisk dzwonka, zjawia się pielęgniarka.

- Proszę zawołać lekarza - mówię do niej, ona patrzy przez chwilę nie rozumiejąc, dlaczego ma wołać lekarza, ale wreszcie wychodzi. Jest lekarz.

- Co się dzieje? - pyta.

- Rozmawiałem z nim o liście, który nielegalnie chciał stąd wysłać. Kiedy pisałem protokół, nagle poderwał się, złapał ten list, zwinął w kulkę i chce go zjeść.

- Chłopcze, to nie zabawa - mówi lekarz. - Wiem, że masz bujną, słowiańską fantazję, ale tym razem igrasz z losem. To cię może kosztować bardzo drogo.

- Zaryzykuję - mamrocze niewyraźnie Owczarek. - Taki już jestem.

- Może być niedobrze, powtarzam ostatni raz!

- Ja jednak spróbuję to zjeść.

Nie zdołaliśmy przeszkodzić, bo niby jak... Obserwujemy jego szyję, powolny z widocznym trudem wykonany ruch przętyku, ból na twarzy, chwila oczekiwania, wsłuchiwanie się w swój organizm. Mijają sekundy, my stoimy nieruchomo, nic się nie dzieje. Wreszcie Owczarek uśmiecha się.

- No i widzicie, panowie, nie ma to jak - być optymistą. Jakoś poszło, teraz już będzie dobrze.

- Ależ człowieku, po co ci to było, po co? - denerwuje się lekarz. - Ryzykować dla draki, czy tanto było aż tak ważne?

- Średnio. Po prostu pomyślałem, że dobrze byłoby to zjeść. Dawno nic nie jadłem, szczerze mówiąc nie karmicie mnie najlepiej, więc apetyt dopisuje.

- Co było w tym grypsie? - zapytał lekarz, kiedy wyszliśmy na korytarz.

- Nie bardzo wiem, pewnie jakaś zaszyfrowana wiadomość, bo całych zdań nie rozumiałem. Ale chyba niedotycząca obecnego dochodzenia, bo w nim wszystko jest jasne, jak rzadko.

Miałem sobie wiele do zarzucenia. Niby wolno mi było przypuszczać, że człowiek po operacji nie jest w stanie wykonać tak gwałtownego ruchu, ale w naszej pracy trzeba być przygotowanym na wszystko, dosłownie na wszystko. Tylko wtedy uda się uniknąć przykrych niespodzianek, a i to pewnie nie zawsze.

Następnego dnia zameldowałem o zdarzeniu swojemu naczelnikowi. Nie miał zadowolonej miny, zresztą nie miał do tego żadnych powodów. Prosił, żebym starał się odtworzyć z pamięci jak najwięcej z treści grypsu. Jeżeli Owczarek aż tak o niego walczył, prawdopodobnie zawierał coś bardzo ważnego. Pamięć jednak zanotowała niewiele, odtworzyłem tylko zdanie o jakiejś „małej” i drugie, dotyczące mojej sprawy. Poza tym nic, ledwie poszczególne słowa.

Naczelnik powiedział, że miał ze mną już dawno porozmawiać, widzi, że dzieje się coś niedobrego, wie, że mam kłopoty osobiste, zdarza mi się przesadzać z alkoholem. Muszę wziąć się za siebie, uporządkować swoje sprawy i przez jakiś czas lepiej będzie, jeżeli nie będę prowadził dochodzeń. Jest akurat wolne miejsce przy statystyce, praca spokojna, w sam raz dla mnie - teraz.

Koleżanka wróci z urlopu macierzyńskiego, ja poradzę sobie ze swoimi kłopotami, uspokoję się, wtedy będę mógł wrócić do wydziału dochodzeniowego.

Wydało mi się, że chce mnie odsunąć na boczny tor, że mi nie wierzy. Byłem przewrażliwiony, teraz to wiem, wtedy wszystko widziałem w nienaturalnych proporcjach, Po kilku dniach złożyłem pismo z prośbą o zwolnienie mnie ze służby w milicji.

Rozmawiano ze mną kilkakrotnie. Uparłem się, powiedziałem, że decyzja moja jest ostateczna.

To śmieszne, przedtem wydawało mi się, że dawno z tego wyrosłem, ale tylko mi się to wydawało: czułem, że nie upierałbym się przy odejściu ze służby, gdybym zdołał sobie przypomnieć treść tego cholernego grypsu, wiedziałem, że wtedy przyjąłbym bez oporów propozycję naczelnika.

Przez jakiś czas myślałem p tych dziwnych zdaniach, uparłem się, żeby mimo wszystko coś w pamięci odtworzyć. Jakieś strzępy tekstu tłukły mi się po głowie, ale nie powstawała z nich żadna całość. Od kolegów, którzy pozostali, dowiedziałem się tymczasem, że odbyła się rozprawa sądowa. Paliżytę i Owczarka oczywiście skazano, na dwa i pół roku pozbawienia wolności każdego. Powoli zapomniałem o wszystkim.

Teraz, kiedy powrócił obraz tej twarzy, wykrzywionej w ironicznym grymasie twarzy Owczarka - połączyło się kilka z rozsypanych w mojej pamięci słów i powstał z tego kawałek zdania, byłem pewny, że zdania autentycznego, dokładnie takiego, jakie wyczytałem w więziennym szpitalu:

... tego nie przewidzieliśmy, jeżeli jeszcze nie wiesz, o co chodzi, to się tym zainteresuj, w każdym razie musicie zrobić coś, bo może być czarno na błękitnej, a to by była bardzo przykra niespodzianka.

Powtórzyłem kilka razy to zdanie, jego związek z moimi ostatnimi przeżyciami stał się teraz dla mnie oczywisty. Postanowiłem powiedzieć o wszystkim kapitanowi Krzemieniowi i to jak najszybciej, bo przecież zostałem zauważony i rozpoznany, może mi coś grozić. Podniosłem słuchawkę telefonu, połączyłem się z kapitanem.

- Wreszcie udało mi się coś przypomnieć - powiedziałem bez wstępów. - I to na pewno coś bardzo ważnego. Wszystko, co się ze mną ostatnio dzieje, łączy się wyraźnie ze sprawą, którą prowadziłem będąc w milicji, z moją ostatnią sprawą. Był tam taki gryps, który jeden z podejrzanych zjadł w szpitalu. Przedtem nic rozumiałem pewnych sformułowań, nie pamiętałem ich... Teraz sobie coś przypominałem, aresztowany pisał do kogoś, adresata nie ustalono, żeby ruszyli się, bo „będzie czarno na błękitnej”. Po tej historii na ulicy Błękitnej wszystko się kojarzy. Nazwiska tamtych ludzi to Janusz Owczarek i drugi...

- Nestor Paliżyto - pomógł mi kapitan. - Jak pan mówił, czarno na Błękitnej? Ciekawe, to by pasowało.

- To pan już wie?

- W końcu od dłuższego czasu biorę pieniądze za to, żeby wiedzieć o takich sprawach. Proszę

nie wychodzić z domu, w każdej chwili może mi pan być potrzebny. A więc jeszcze raz: proszę ani na chwilę nie opuszczać mieszkania, będę dziś u pana,

- Joanna - powiedziałem do siebie odkładając słuchawkę. - Co wspólnego z tym wszystkim mogła mieć Joanna?

Wywiadowca obrał świetny punkt obserwacyjny. Naprzeciwko domu Zięby stała rudera przeznaczona do rozbiórki. Lokatorów z trzech pięter już wykwaterowano, jako ostatni wyprowadził się z parterowego warsztatu szewc. Dom był pusty, część okien powybijana. Wywiadowca rozchwianymi schodami wszedł na drugie piętro i w tej chwili znalazł się naprzeciwko okien Zięby. Przyniósł do okna pozostawiony przez kogoś fotel na trzech nogach, ukryty za postrzępioną firanką. Lekko podnosząc i opuszczając głowę mógł jednocześnie obserwować okna mieszkania i wejście do bramy.

Ruch był niewielki. Zięba nie wychodził z domu; mimo jasnego dnia zasunął lniane zasłony. Wywiadowca trochę się nudził. Palił - jednego po drugim - „ekstra-mocne”, liczył deski w tylnej ścianie kiosku.

Raptem zobaczył młodego mężczyznę zbliżającego się do bramy, którą obserwował. Jasne ubranie, broda, szybkie, energiczne ruchy.

Wywiadowca poczuł jakiś nagły niepokój.

No, proszę - uśmiechnął się do siebie. - Człowiek nie wiadomo jak długo pozostaje dużym dzieckiem. Nasłuchiwałem się bajek o niedobrych brodaczach, w bajkach prawie wszyscy rozbójnicy noszą brody. Teraz widzę brodatego faceta i czuję niepokój. A to pewnie zwykły facet, który wraca z pracy. A gdzie taki gość może pracować? Na przykład dziennikarz, nauczyciel... Pewnie tu mieszka.

Dzwonek do drzwi, podchodzę, chwytam za klamkę. I zatrzymuję się...

- Kto tam? - pytam.

- Telegram do pana Zięby.

- Zaraz - mówię. Jeszcze na chwilę wracam do biurka, przy którym przedtem siedziałem; do dziś śmieję się z każdego, kto mówi, że nie ma nic takiego, jak przeczucie, intuicja.

Po chwili z powrotem jestem przy drzwiach, otwieram je. Znów ta twarz przede mną.

- Przepraszam za ten niewinny dowcip - wepchnął mnie do mieszkania; nie mogłem oderwać wzroku od ciemnej, lśniącej lufy pistoletu, skierowanej we mnie. - Nie spodziewałeś się mnie? A trzeba było, przyjacielu, trzeba było. Przecież muszę ci wyjaśnić, tak uciekałem przed tobą nie wiadomo dlaczego. Nie pali cię ciekawość?

- Nie wiem, o czym mówisz.

- Czyżbyś chciał mnie przekonać, że mnie nie poznałeś? Poznałeś i w tym twoje nieszczęście.

- Tak, jesteś Janusz Owczarek. Czego chcesz ode mnie?

- Proste, chcę, żeby cię nie było. I nie będzie cię, twoja pamięć mogłaby mi za bardzo skomplikować życie. Tylko chcę się jeszcze dowiedzieć, co przekazałeś swoim przyjaciółom-glinom.

Zadzwonił telefon, drgnąłem.

- Co, czyżbyś miał zamiar odebrać? - znów ten niby-uśmiech. - Taki jesteś figlarz, że chcesz odebrać telefon, mimo że cię nie ma w domu?

Przesunął się w stronę stolika, na którym stał aparat, zasłonił go sobą. Dzwonek zabrzmiał około dwudziestu razy.

Zyskać na czasie... - myślałem gorączkowo. - Zyskać na czasie, nikt inny przecież nie dzwoniłby tak uporczywie, tylko ktoś, kto jest pewny, że siedzę w domu.

- No, co wiedzą twoi przyjaciele?

- Skąd mogę wiedzieć? Prowadzą śledztwo, ja jestem w kręgu podejrzanych, ale jeszcze nie pokazano mi akt - kłamałem.

- O ile się znam na medycynie, to podejrzany o popełnienie morderstwa siedzi w pudle. A ty sobie chodzisz. Coś więc jest nie tak.

- Może jeszcze nie zgromadzono wystarczających dowodów?

- Glina glinie krzywdy nie robi, A to, że cię złapali nad trupem dziewczyny, z którą kręciłeś, i że ona miała wbity twój nóż - to mało? Myślisz, że ja na twoim miejscu byłbym na wolności?

- Nie wiem, widocznie mało. Dlaczego zabiliście Joannę?

- Myśmy zabili Joannę? Przecież to wielka miłość życia mojego przyjaciela, nie możemy przeboleć tej straty. Cholera wie, po co ci to mówię, ale pewnie chcesz wiedzieć, co cię gubi?

- Oczywiście. Bardzo bym chciał wiedzieć...

- To, że odchodząc z milicji pozostałeś gliną. Sprawa ucichła, poszliśmy siedzieć. Czego ty jeszcze chciałeś, za czym łąziłeś? A działkę sobie załatwić, rzodkiewki hodować. Podobno służba w milicji wyczerpuje.

- Ja za nikim nie chodziłem - powiedziałem i to była prawda.

- Bajuj, bajuj. I przypadkiem spotkałeś Joannę, co? Nie mnie takie bajeczki opowiadaj.

- Jak chcesz, to wierz, jak nie chcesz, nie wierz. Spotkałem ją przypadkiem.

- Ona też tak mówiła, Nagle olśnienie w drugiej klasie pociągu pospiesznego, co? Coś ty zrobił z tą dziewczyną - w jego oczach błysnęła wściekłość. - No mów, coś ty z nią zrobił, taki jesteś, cholera, zniewalający?

- Nic z nią nie zrobiłem. Nie miałem na nią żadnego wpływu.

- Cholera, nie denerwuj mnie. Wszystko było ustalone, każdy miał swoją rolę, ale nie przewidzieliśmy, że babie może aż tak odbić. Doszło do tego, że chciała nas sypać z tej wielkiej miłości do ciebie. W takiej sytuacji nie było innego wyjścia. I widzisz, coś narobił, pchając się w nic swoje sprawy. Dziewczyna nie żyje, ty właściwie już też... No, co wiedzą gliny, przekazałeś coś swoim przyjaciołom?

- A jak myślisz? - nasłuchiwałem czegoś, ale na ulicy było cicho, nic się nie działo.

- To nie teleturniej, stary, opamiętaj się. Muszę to wiedzieć, inaczej będę cię musiał trochę uszkodzić. No?

- Nie zdążyłem. Miałem właśnie zamiar...

- No, będę ludzki - powiedział zbliżając się do stołu. - Nie znam z własnego doświadczenia, jak to jest, kiedy kule człowieka dziurawią, ale to musi być fatalne uczucie, można się jeszcze męczyć... Tu masz pigułkę, widzisz? Cyjankali. Szybko i bezboleśnie. No?

- Dziękuję - powiedziałem. - Tak rzeczywiście będzie lepiej. Ale ja nie pisnę nikomu, mogę przysiąc.

- Nie rozśmieszaj mnie. No, do roboty.

Podszedłem do stołu, ostrożnie wziąłem pigułkę do ręki.

- Nie ma co się szczypać. Raz, dwa i już.

- W końcu to nie jest takie proste - powiedziałem. - Może dla ciebie. Muszę się zastanowić, czy o czymś nie zapomniałem.

- A jakie to ma znaczenie? Marność nad marnościami, wszystko marność. Nie wiem, czy dobrze cytuję. Jedziemy, przyjacielu, z tym światem. Bo będę musiał zacząć liczyć do dziesięciu, warto się w to bawić?

- Dobrze. Już.

Słyszę warkot motoru, najpierw narasta, potem gwałtownie cichnie - tuż pod moimi oknami. On też to usłyszał, zaczął nasłuchiwać. Nic, trzydzieści sekund, minuta.

- No - mówi.

Stoi tyłem do drzwi i nie może ich widzieć, ja widzę poruszającą się klamkę, Niestety, drzwi są

zamknięte, zdążył przekręcić klucz.

- Czy liczysz na jakieś cuda? To zdarza się tylko w kiepskich powieściach. Raz - zaczyna liczyć - dwa, trzy...

- Otwierać, milicja! - słyszę zza drzwi głos kapitana.

Odruchowo obraca się ku drzwiom, wystarcza ten moment, chwytam ciężką, kryształową popielniczkę, rzucam, trafiam go w ramię. Krzyczy z bólu, pistolet wysuwa się ze zwiotczącej ręki. Gwałtowne łomotanie do drzwi. Podrywam z podłogi pistolet, zanim zdążył go przykryć nogą. Teraz ja mam go na muszce.

- Wszystko w porządku, kapitanie - mówię. - Już otwieram.

Przekręcam klucz w zamku, Krzemień wpada do pokoju, za nim dwóch milicjantów z pistoletami w dłoniach. Kapitan dostrzega mojego gościa, zatrzymuje się.

- Przyjacielska wizyta. A to co? - bierze ze stołu pigułkę, wacha ją. - Oho, przyszliśmy poczęstować migdałkami. Powiedział, co to jest?

- Tym razem powiedział prawdę, że cyjankali. I stał nade mną z pistoletem, żebym to połknął.

- Co mu się przydarzyło?

- Dostał w bark kryształową popielniczką.

- A panu nic się nie stało?.

- Nic. Aha, jeszcze to.

Podszedłem do biurka, wyjąłem z szuflady magnetofon, wyłączyłem go.

- Glina zawsze pozostanie gliną! - wykrzyknął Owczarek, już ze skutymi rękami.

- Ale to był komplement, prawda, Owczarek? - uśmiechnął się kapitan.

- No, fajnie, i ten mnie już zna z nazwiska. Nie ma to, jak być sławny.

- Przestań błaznować - powiedział kapitan.

- I wy liczycie, że to pudło coś nagrało? Przecież mikrofon leżał na biurku, nic z tego! - parsknął Owczarek.

- Spróbujemy - spokojnie mówi kapitan. - Mamy taką różną maszynę, może da się to jakoś wzmocnić. Ja na przykład jestem tutaj optymistą. No, zbieramy się. Wpadłeś, zdarza się.

- Niczego mi nie udowodnicie.

- Chociażby to, że usiłowaliście zabić obywatela Ziębę. W tej sytuacji należy to uznać na próbę zabójstwa. Ładnieś to sobie pomyślał. Znajdą go otrutego, pewnie wreszcie dojdą do przekonania, że załamał się, nie mógł znieść ciężaru zbrodni? My już za dużo wiedzieliśmy, żeby taki numer się udał. No, dość gadania. Będiesz miał sporo czasu zeznając do protokołów, a jeszcze potem występ galowy przed publicznością. Idziemy.

Fiat 850 jechał ze średnią szybkością, zresztą warunki nie były najlepsze: strome zjazdy, serpentyny, wyboista droga. Porucznik Kowalczyk nie miał żadnych pomysłów, jak wyjść z opresji, przez głowę przelatywały mu fragmenty gangsterskich filmów, bohaterowie swobodnie uwalniający się w sytuacjach, kiedy lufa odbezpieczonego pistoletu przytknięta była do kręgosłupa, ale tamto to przecież zabawa, bohater musi wygrać, nawet jeżeli przejeżdża go pociąg albo na głowę spada kilkotonowy głaz: maszynistą okaże się Simon Templar, dla którego nic będzie specjalnego problemu spowodować, by pociąg uniósł się na chwilę, głupie pół metra nad ziemię, a na lecący kamień skieruje kieszonkową wyrzutnię gazów, które zniosą głaz w bezpieczne miejsce. Jeżeli jedna scena się nie uda - robi się tak zwany dubel i sprawa załatwiona.

Ale kiedy w życiu rzeczywisty człowiek, to znaczy rzeczywisty bandyta, o którym wiadomo, że nie ma skrupułów, trzyma cię na muszce pistoletu, a ty masz puste ręce i jesteś do niego odwrócony tyłem - nie istnieją wielkie możliwości manewru. Trzeba bardzo uważać i czekać na szczęśliwe zbiegi okoliczności. Jeśli kula wejdzie w ciało i wyzionie się ducha, nie da już rady powtórzyć tej sceny w inny, bardziej sympatyczny sposób.

Tak właśnie myślał porucznik Kowalczyk, prowadząc Fiata górską drogą.

- Daleko jeszcze? - zapytał wreszcie.

- Ciekawe - zastanowił się głośno Palizyto, Kowalczyk w lusterku dostrzegł uśmiech na jego twarzy. - Rzeczywiście tak ci się spieszy? A wiesz, że nie pomyślałbym?

- Jestem trochę zmęczony i może być krucho.

- A, widzisz, trzeba się dobrze prowadzić. Nie pijać po nocach alkoholu, nie forsować organizmu w zadymionych pomieszczeniach, oddając się tańcom. Ja czuję się świetnie.

- Nie ujdzie ci płazem ten numer, co, myślisz, że nikt się nie dowie? Ktoś nas na pewno widział.

- Nie martw się o mnie. Jakoś sobie poradzę, mnie już nie trzeba dużo czasu.

- Chyba będziesz miał dużo wolnego czasu. Cholernie dużo - powiedział Kowalczyk.

- Mówiłem ci, żebyś się o mnie nie martwił.

Minęli jakąś wioskę, przy kiosku stał milicjant trzymający rower; pił oranżadę. Kowalczyk uśmiechnął się smętnie.

- Zabawne, co - powiedział po chwili Palizyto. Kilka kilometrów za wsią kazał Kowalczykowi zakręcić i jechać wąską, pnącą się pod górę dróżką. Motor samochodu pracował na najwyższych

obrotach, wreszcie zaterkotał nierówno i zgasł.

- Wychodź z samochodu - powiedział Palizyto,

Wyszli.

- Otwórz bagażnik, wyjmij stamtąd sznury.

Zaczęli iść kamienistą ścieżką, po kilkunastu minutach znaleźli się na hali. Było zupełnie pusto, w pobliżu wznoszącego się stoku stał opuszczony pasterski szałas. Weszli tam.

- Zwiąż sobie nogi - powiedział Palizyto. Kowalczyk wykonał to. Bandyta kazał Kowalczykowi uklęknąć z rękami wysuniętymi do tyłu, krępował mu ręce sznurem. Porucznik nie mógł nic zrobić, czuł, że tamten używa tylko prawej ręki, w lewej pewnie trzymał więc pistolet. Potem Palizyto sprawdził sznury, związał je ze sobą, ograniczając możliwości ruchu Kowalczyka do kilku centymetrów. Usiadł naprzeciwko niego na belce.

- Dlaczego mnie nie wykańczasz? - zapytał porucznik; zorientował się, że tamten ma inne plany.

- Moja sprawa, Widziałeś tę ścieżkę? Rzadko stąpa tu ludzka stopa. Mogę cię po prostu zostawić, a szanse, że cię tu ktoś odnajdzie żywego, są znikomo małe, I co - myślałeś, że jesteście tacy mądrzy i sprytni? A widzisz, co się dzieje?

- Gra jeszcze nie jest skończona.

- Dla ciebie tak.

- Ale dla ciebie nie. Masz jeszcze sporo rzeczy do zrobienia.

- Udajesz, że wiesz coś konkretnego?

- Nie tylko ja. Miałem możliwość przekazać to i owo do Warszawy. Nie wzięłeś tego pod uwagę?

- Na przykład co?

- Właśnie na tym polega moja przewaga nad tobą.

- Mogłem cię sprzątnąć i w pensjonacie, dałoby się to zrobić. Ale ja muszę wiedzieć, czy coś przekazałeś, a jeżeli tak - to co. I tylko dlatego cię tu przywiozłem. Jeszcze mocniej zwiążę te sznury i znajdziesz się w pozycji bardzo niewygodnej. Ja pojedę, a ty będziesz marzył, żebym wrócił, i to będzie największe marzenie w twoim życiu. I wtedy mi wszystko powiesz. Bo ja i tak muszę wrócić do pensjonatu. Nawet ryzykując wpadkę. Potem przyjadę tu do ciebie. I módl się, żeby mi się nic nie stało, bo inaczej widzę cię na czarno. A może teraz już powiesz?

- Nic nie powiem.

- W takim razie do miłego zobaczenia.

Emeryt, który był świadkiem włamania sprzed trzech lat, nie miał w życiu wielu emocjonalnych przeżyć, zdarzenie tamtej nocy, a właściwie wczesnego ranka - zapamiętał zadziwiająco dokładnie. Mocno zdziwiła go wizyta kapitana: zeznawał przecież na rozprawie sądowej trzy lata temu, sprawę uważał za definitywnie zakończoną.

- Więc to się jeszcze ciągnie? - pytał kilkakrotnie,

- Nie, ale okoliczności tamtego włamania są niezbędnie potrzebne do innej, znacznie poważniejszej sprawy. I to, co mi pan powie, do jakiego stopnia zdoła się pan skoncentrować - może się okazać decydujące.

- Morderstwo? - emeryt aż zarumienił się z wrażenia; od wielu tygodni najważniejszym zdarzeniem było dla niego to, że jego pies pogryzł się w parku z psem sąsiada i ma naderwane ucho.

- Może nawet morderstwo - uśmiechnął się kapitan, widząc podniecenie starego pana.

- Jestem gotowy, proszę pytać - powiedział tamten po chwili. - Wiele razy myślałem o tej historii, wydaje mi się, że wszystko pamiętam.

- Zupełnie ogólne pytanie. Czy w całej tej sprawie dostrzegł pan coś zaskakującego? Bo przecież wiadomo, że są włamania do sklepów, chociaż nie widzimy tego codziennie.

- Nie wiem, jak to określić - twarz emeryta wyrażała skupienie. - Dla mnie przykre było, że jeden z nich, kiedy mnie dostrzegł, wykonał taki lekceważący gest. Ale to odczucie subiektywne, dla mnie było przykre, ktoś patrzący z boku mógłby się nawet zaśmiać. Powiedziałem to na rozprawie, ale nie zwrócono na taki szczegół uwagi, a teraz, kiedy pan pyta... Otóż odniosłem wrażenie, że im się w rzeczywistości wcale nie spieszy. Potem uciekli, to prawda, ale kiedy mnie zobaczyli i jeszcze przedtem... Zachowywali się tak, jakby na kogoś czekali, pomyślałem nawet, że jest ich więcej i czekają na współnika albo współników.

- Pan rozpoznał ich obydwo, tak?

- Oczywiście, bardzo charakterystyczne sylwetki, charakterystyczne stroje, zresztą w tych samych strojach, w jakich widziałem ich w nocy, pokazywano mi ich następnego dnia. Było chyba sześciu mężczyzn, bez wahania wskazałem na tych dwóch. Oni nie zaprzeczali, zorientowałem się, że zostali ujęci z kradzionymi przedmiotami.

- Po czym pan ich rozpoznał?

- No, po czym rozpoznaje się ludzi? Wzrost, sylwetka, ubranie, twarz...

- Twarz wymienił pan na ostatnim miejscu. A przecież to najbardziej charakterystyczna część człowieka, najbardziej indywidualna, można powiedzieć.

- Wie pan, szczegóły twarzy z odległości kilkudziesięciu metrów, do tego o brzasku nie są widoczne aż tak wyraźnie, jak wszystkie inne. Na przykład oczy: czy z pięćdziesięciu metrów można dostrzec kolor oczu? Czy to naprawdę takie ważne? Przecież się przyznali, wszystko się zgadza.

- Prosiłem pana o pomoc. To bardzo ważne. Kiedyś przyznanie się było królem dowodów. Doświadczenie uczy, że nie może być dowodem jedynym, musi być poparte innymi dowodami. Takie jest też nasze prawo. Więc nie rozpoznał pan ich po twarzach?

- Dokładnie utkwiła mi w pamięci twarz jednego z nich, tego w różowej koszuli. Ostry profil, wydatny nos, wysokie czoło... Natomiast jeżeli chodzi o twarz drugiego... Mówiłem już wielokrotnie, miał czapkę z dużym daszkiem, to zasłaniało cześć twarzy, szczególnie z góry, poza tym daszek rzucał cień... I jeszcze jedno - jego charakterystyczny, jeżeli wolno mi ocenić, wręcz dziwaczny strój przykuwał uwagę, na twarz patrzyło się dopiero później.

- Sumując więc: Jeżeli go przebrano w inny strój, oddzielono od kolegi i ustawiono między kilkoma podobnie zbudowanymi mężczyznami - rozpoznałby go pan?

- Obawiam się, że miałbym trudności - powiedział emeryt. - Ale w tamtych sytuacjach, w komendzie i w sądzie, wszystko się zgadzało, on nie zaprzeczał...

- Dziękuję panu. Bardzo panu dziękuję-

- Naprawdę pomoże panu to, co powiedziałem? - ucieszył się emeryt.

- Z całą pewnością, proszę pana, z całą pewnością.

- Zawsze panowie mogą liczyć na moją pomoc - wyprężył się jak żołnierz w szeregu.

- Skorzystamy, jeżeli będzie potrzeba - uśmiechnął się kapitan. - A poza tym bardzo możliwe, że znajdzie się pan w sprawozdaniach prasowych z przyszłego procesu jako jeden z koronnych świadków oskarżenia.

- Zrobię wszystko, co do mnie należy - powiedział emeryt.

Tej nocy przyjechała z nad morza żona kapitana Krzemienia z córkami. Rozmawiali, rozpakowywali rzeczy. Wtedy zadzwonił telefon. I zaczęto się - w pięć minut później kapitan był już w samochodzie pędzącym do Komendy Stołecznej.

Pół godziny po otrzymaniu przez Krzemienia telefonogramu z Zakopanego trzech ludzi rozpracowywało kontakty Janusza Owczarka i Nestora Paliżyty. Imię Nestor zupełnie wystarczyło kapitanowi. W kartotekach komendy było zaledwie trzech ludzi o imieniu Nestor. Jeden nie żył od pięciu lat, drugi odbywał aktualnie karę sześciu lat pozbawienia wolności za szereg oszustw. Nestor Paliżyto wraz ze swoim przyjacielem Januszem Owczarkiem dwa miesiące temu opuścił więzienie. Udało się ustalić, że Zięba prowadził sprawę tego włamania. „Nes” pisał do Dolińskiej w liście z więzienia w Strzelcach Opolskich, żeby zaopiekowała się jakąś szarą kopertą, wkrótce Wierzbicki popełnia samobójstwo, jego brat w Krakowie wcześniej zostaje zamordowany... Waluciarze, znani z tego, że poprzestają na swojej „specjalności”, dokonują dziwnego włamania...

Szybko potwierdziło się, że Dolińska należała do kręgu znajomych Owczarka i Paliżyty, z tym ostatnim przeżywała nawet jakiś burzliwy romans. W domach znajomych i przyjaciół Owczarka i Paliżyty zaczęli pojawiać się funkcjonariusze, którzy dowozili całe towarzystwo do komendy, gdzie

oczekiwało ono na przesłuchanie. Na razie nie przesłuchiowano; nikt jednak nie miał w komendzie wyrzutów sumienia z tego powodu; czekającymi byli wyłącznie ludzie nie pracujący, żyjący nie wiadomo z czego.

Kapitan Krzemień, po złożeniu wizyty spostrzegawczemu emerytowi, pełnym gazem pojechał na ulicę Środkową, gdzie wdał się w rozmowę z dozorcą domu.

- Pan Janusz - powiedział dozorca, patrząc na podsunętą mu przez kapitana fotografię. - Tak, mieszka tu. Znaczący się mieszkanie jest na jego ciotkę, ale ona opiekuje się kimś z rodziny i siedzi gdzieś pod Warszawą, podobnie mają tam willę. Tak, mieszka tu, razem z przyjacielem. Nazwiska też nie znam, Artur na niego mówią.

- Nie było ich przez długi czas, prawda?

- Tak, pan Janusz powiedział, że pewnie wyjadą na dłuższy czas i wtedy będzie tu mieszkał ich kolega.

- Co? - kapitan omal nie podskoczył. - Powiedział, że wyjedzie na dłuższy czas?

- Tak - potwierdził dozorca. - I rzeczywiście wyjechali, że dwa lata ich nie było, czy coś koło tego... Ale teraz wrócili.

- A przez te dwa lata mieszkał tu ich kolega?

- Tak, a tak prawdę powiedzieć to dwóch. Taki blondynek z długimi włosami, co cienko mówi, to ten kolega i jeszcze jakiegoś przyprowadzał...

- A ten jak wyglądał?

- A jak to oni teraz. Wysoki, chudy, czarny, ubrany w Bóg wie co, jakieś kwiatki, chusteczki, jak jaki pederasta...

- Nie wie pan o nim nic bliższego?

- Skąd, ten mały kiedyś na niego krzyknął „Wiktor”, to zapamiętałem. A tak nic więcej nie wiem. A, jeszcze... Dowiedziałem się, że pan Janusz i pan Artur podobnie siedzieli, aż mi się wierzyć nie chciało. Prawda to?

- Prawda. A dlaczego nie chciało się panu wierzyć?

- Bo wie pan, tacy kulturalni ludzie, za bramę niżej piątki nie dali, nie było tak, żeby po wódce przyszli i jakieś awantury, owszem, bywało, że panienki przychodziły, ale to pan major wie, ludzka sprawa.

- No, zbieramy się. Musi się pan pofatygować do komendy, ale proszę się nie obawiać. Chodzi o przesłuchanie i rozpoznanie pewnych osób.

- Jak musowo trzeba, to pojedę - powiedział dozorca bez entuzjazmu i zdjął z wieszaka czapkę.

Dozorca bez wahania wskazał na mężczyznę, którego przy nim nazwano Wiktozem. Kapitan poprosił tamtego do pokoju, posadził. Długo patrzył na niego bez słowa, aż Wiktor Zieliński, bo tak się nazywał - zaczął niespokojnie kręcić się na krześle, spuścił wzrok.

- Wpadliśmy - powiedział wreszcie kapitan.

- Ja nic nie wiem. O co panu chodzi? - poderwał się Zieliński.

- Nie masz ochoty na chwilę szczerości?

- Ja nie wiem, o czym pan mówi. Pewnie chcecie mnie w coś zrobić, nie dam się.

- Milicja nie wrabia, Zieliński, milicja wykrywa sprawców przestępstw.

- Ja nic nie zrobiłem.

- Ładnie to tak, jak kolega odsiaduje wyrok, a samemu się chodzi na wolności?

Chłopak drgnął gwałtownie, w tym momencie kapitan utwierdził się w przekonaniu, że jest na właściwym tropie.

- Nikt za mnie nie siedział - powiedział po chwili Zieliński; zdołał się opanować. - Ja nie byłem w ogóle karany. Chcecie mnie w coś zrobić.

- Ja cię w nic nie chcę zrobić. Koledzy cię zrobili. A wiesz, w co? Bagatela, dwa zabójstwa. I co ty na to? Zabójstwo to nie jakieś tam włamanie, za które dostaje się trzy lata, a i po dwóch wychodzi się za dobre sprawowanie.

- Ja nic nie wiem, nie dam się zrobić - powtarzał Zieliński.

- Dość tego gadania, nie ma czasu - uciął ostro kapitan. - Do aresztu, porem niech się już nim zajmie prokurator i sąd.

- Chwileczkę - powiedział cicho Zieliński. - Przecież nie można tak sobie oskarżać człowieka o morderstwo.

- Jeżeli ktoś udzielił pomocy w dokonaniu morderstwa, to nie tylko można, ale musi się go oskarżyć.

- Przecież ja o niczym nie wiem, chodziło o jakieś waluty, pieniądze przecież...

- Chodziło o morderstwo dokonane w Krakowie! No, szybko, bo nie ma czasu. Prosił cię, żebyś ubrał się w to, co zwykle nosi Paliżyto, i żebyś razem z Owczarkiem poszedł na włamanie, tak? Ile za to dostałeś?

- Dziesięć kół - cicho powiedział Zieliński. - Ale nigdy bym się nie zgodził, gdybym wiedział, że chodzi o mokrą robotę. Przecież ja wiem, że to nie przelewki, nie od wczoraj żyję na świecie... Co ze mną będzie?

- Bezkarnie ci to nie ujdzie, ale jak wszystko dokładnie opowiesz, nie będziesz włączony do sprawy o zabójstwo. Musisz jednak wszystko dokładnie zeznać - i tu, i przed sądem.

- Dobrze, oczywiście...

- Rozpuścić na razie resztę towarzystwa, czekającą na korytarzu - powiedział kapitan. - Tymczasem zajmijmy się panem Zielińskim, do pozostałych wrócimy w razie potrzeby.

Owczarek rzucił się w kierunku Zielińskiego, ale zatrzymali go dwaj milicjanci. Wyrwał się im przez chwilę, wreszcie uspokoił się, pozwolił się podprowadzić do krzesła, usiadł.

- Ty szmato - powiedział. - Ty mały gnojku. Przestraszyłeś się, co? Ty smutny gnojku, nawet plunąć mi się na ciebie nie chce.

- Spokój - uciszył go kapitan. - I koń się potknie, chociaż ma cztery nogi. Przegraliście, trzeba z tego wyciągnąć wnioski.

- Jakie wnioski? - parsknął Owczarek.

- Ratować skórę - powiedział kapitan:

- Chyba jeszcze nie jest tak źle - Owczarek zaprezentował znowu swój grymas udający uśmiech.

- Kiedy pan Trzeciak zobaczy was za kratkami, stanie się na pewno rozmowniejszy i pamięć mu się poprawi - powiedział kapitan. - Właśnie jest w trakcie podróży do komendy. Poza tym koledzy dowiedzieli się ciekawych spraw w Zakopanem. Tak, że nie jesteśmy w krytycznej sytuacji, gorzej z wami.

W tej chwili wprowadzono do pokoju Trzeciaka. Stary mężczyzna ze strachem spojrzął na Owczarka, odsunął się pod ścianę.

- Teraz nic już wam nie grozi - uspokoił go kapitan. - To oni urzędowali ostatnio w garażu?-

- On jest aresztowany? - zapytał starzec. - I ten drugi diabeł też?

- Tak - powiedział kapitan. - Może pan mówić spokojnie.

- To oni - Trzeciak wyprostował się i kilka razy wskazał palcem na Owczarka. - To diabły, że też takich święta ziemia nosi. Tamten uderzył mnie nawet, groził nożem. Przepadli na długo, potem znów się pojawili. Kiedy ich nie było, przychodziła taka dziewczyna, ona płaciła za garaż...

- Ta? - kapitan podsunął mu fotografię Dolińskiej.

- Tak, ta.

- Pan wie, że to właśnie ona została zabiła. Okazywano panu to zdjęcie, a pan twierdził, że jej nie zna.

- Poznałem ją, ale oni mi powiedzieli, że nic nie wiem, mam mówić, że jestem stary i niczego nie pamiętam. Powiedzieli, że zrobią ze mną to samo, co z panem Wierzbickim.

- A co mówili o Wierzbickim?

- Że go zabili, a milicja nic im nie może zrobić.

- Oni go nie zabili. Wtedy byli w więzieniu. Wierzbicki popełnił samobójstwo.

- Diabły, diabły - szepnął Trzeciak.

- To na razie tyle, jutro przesłuchamy pana dokładnie, teraz proszę podpisać wstępny protokół. Jutro będę u pana.

- No i co? - zapytał kapitan, kiedy Trzeciak wyszedł z pokoju. - Może teraz zacznie pan mówić prawdę.

- Gdzie jest Palizyto? - zainteresował się Owczarek. - Macie go?

- Przecież byliście umówieni, pojechał do Zakopanego, tak?

- Jak wiecie, to po co pytać? Strata energii.

- Dumy sobie radę. No, złożycie jakieś nowe wyjaśnienia, żeby poprawić swoją nie najlepszą sytuację w tej sprawie?

- Ja nie wiem, czego ode mnie chcecie. Proszę, udowadniajcie mi, co ja takiego zrobiłem, bierzecie za to pensje. Nic ma powodu, żebym wam w tym pomagał.

- Dobrze, była jeszcze jakaś szansa. Ale jeżeli ktoś sam nie chce się ratować, niech ma tylko do siebie pretensje,

- Szmata nie jestem, żeby się tak szybko łamać. Pracujcie, udowadniajcie, jak uważacie, że jest co. Ja nic nie powiem.

Twarz Nestora Palizyty wyrażała bezgraniczne zdumienie. Przed chwilą otworzył drzwi swojego pokoju, właśnie stanął w progu i oto zobaczył siedzącego na jego tapczanie Walkowiaka, który trzymał pistolet wycelowany w kierunku wchodzącego. Ręce Palizyty odruchowo wzniosły się nad głowę.

- Proszę, proszę - powiedział Walkowiak. - Śmiało, przecież jest pan u siebie. Proszę wolniutko zdjąć kurteczkę i odrzucić ją na bok, tylko nie w moim kierunku, bo nie lubię takich zabaw. O,

światnie. I teraz najważniejsza sprawa. Nasi współmieszkańcy powiedzieli mi, że wziął pan na samochodową przejażdżkę mojego kolegę. Co się z nim dzieje, gdzie on jest? Mam nadzieję, że nic stała mu się żadna krzywda.

- Żyje - powiedział z trudem Paliżyto. - Leży związany, ale nie powiem, gdzie. To znaczy powiem, ale tylko w takim przypadku, jeżeli pan mnie wypuści.

- E, to chyba nie będzie tak - uśmiechnął się Walkowiak. - Pan sobie wymyślił, że jak usłyszę, polecę tam, a pana puszcze wolno? To miało być pewnie dowcipne, ale nie jest. Zaczniemy od tego rozmowę, że ustalimy pewne sprawy. Przede wszystkim ja pana nic puszcze niezależnie od tego, jak się pan zachowa. A mojego kolegę znajdziemy i to szybko, ogłosimy przez radio i telewizję, przeszukamy wszystko w promieniu kilkudziesięciu kilometrów. Muszę pana zmartwić: wsypa na całej linii. Owczarek pod kluczem w Warszawie, na jaw wyszła ta komedia z włamaniem do sklepu i lipnym alibi. Kiedy Zieliński dowiedział się, w co jest wmieszany, zaczął sypać na całej linii.

- Blefuje pan - powiedział Paliżyto bez większego przekonania. - Strzela pan na ślepo.

- Obydwaj dobrze wiemy, że jest inaczej.

Mocno pchnięte drzwi otworzyły się gwałtownie, do pokoju wbiegli dwaj mundurowi milicjanci. Widząc sytuację zatrzymali się, opuścili ręce, w których trzymali pistolety.

- Ach, to sam sobie pan poradził - odezwał się sierżant. - Zabieramy go?

- Tak, zaraz. Najpierw sprawdźcie jego kurtkę i w ogóle rozejrzyjcie się po pokoju, Coś mi się zdaje, że możemy znaleźć tu ciekawe rzeczy.

Jeden z milicjantów wyjął portfel z kieszeni kurtki, systematycznie wertował jego zawartość. Drugi przeglądał rzeczy w szafie. Z szuflady nocnego stolika wy dostał ciężką złotą papierośnicę i położył ją przed Walkowiakiem. Walkowiak wziął ją, sierżant bez słowa uniósł swój pistolet, pozwalając w ten sposób porucznikowi na dokładne obejrzenie papierośnicy. Na wewnętrznej stronie jej wieka porucznik odczytał niewielki, prawie już zatarty napis: „Leonowi, w dowód wdzięcznej pamięci”. Podpis był nieczytelny.

- To ta papierośnica, o której mówi się sporo w aktach sprawy zabójstwa Leona Wierzbickiego, prawda? - zapytał Walkowiak Paliżytę.

- Nie wiem, nie znam tych akt - ponuro odpowiedział tamten.

- Jest coś jeszcze, panie poruczniku - milicjant przeglądający portfel podał Walkowiakowi kilka niewielkich, wypełnionych blankietów. Były to czek wystawione przez Helenę Jaskułę na nazwisko Leona Wierzbickiego; opiewały one na kilka milionów złotych.

- No, kółko się zamknęło - powiedział Walkowiak, - Może teraz stanie się pan rozmowniejszy?

- Dobrze, powiem - odezwał się Paliżyto. - Zaprzeczać w tej sytuacji nie ma sensu.

- I ja tak myślę.

- Mam prawie obowiązek wtajemniczyć cię we wszystko - powiedział major Szymański. - Chyba cię to interesuje?

- Oczywiście, że interesuje - odezwał się Zięba. - W końcu człowiek powinien wiedzieć, dlaczego mu się dobierano do skóry.

- Więc Owczarek i Paliżyto nie byli centralnymi postaciami w całej sprawie, kiedy się ona rozkręcała. Byli szlifującymi stołeczne bruki nierobami, szukającymi sposobów wygodnego życia. Chodzili, do jakiegoś klubu młodzieżowego, pośredniczyli w drobnym handelku - wiesz, kolega czy koleżanka przywieźli z zagranicy jakieś ciuchy, oni to sprzedawali. Stopniowo zaczęli interesować się przybyszami z zagranicy i walutami, ale to wszystko działo się w miniaturowej skali. Kiedyś zetknęli się z Karolem Wierzbickim, chodziło o jakiś samochód i odszkodowanie za wypadek; zwrócili się do Wierzbickiego jako właściciela warsztatu samochodowego, żeby im wystawił „lewy” rachunek za naprawę samochodu. Nie wiem, czy coś z tego wyszło, nieważne. Wierzbicki robił wtedy interesy na kupowaniu samochodów w banku PKO za obce waluty i potrzebował - w nieograniczonej ilości - dolarów i bonów towarowych. Dogadali się szybko, Owczarek z Paliżytą zaczęli dla niego skupować dewizy. Tylko, że te samochody to nie był jedyny nielegalny interes Karola Wierzbickiego. Uczestniczył on w znacznie poważniejszej historii, której organizatorem był jego brat Leon, zamieszkały w Krakowie. Chodziło o przemysł za granicę dzieł sztuki, starych druków, starych monet - i w drugą stronę - złota. Karol Wierzbicki prowadził warszawskie interesy brata. Owczarek i Paliżyto wykazali się zdolnościami oraz skłonnością do takiej „pracy”, bracia postanowili więc ich zaangażować i stopniowo wtajemniczali w swoje interesy. Wszystko było zorganizowane, kontakty z ludźmi zajmującymi się oficjalnie czy nieoficjalnie skupem antyków, kurierzy, mieli nawet zatrudnionego historyka sztuki, który im „towar” wyceniał. Stopniowo Owczarek i jego kolega stawali się pełnoprawnymi członkami szajki. Wtedy pojawiła się Joanna. Paliżyto zupełnie stracił dla niej głowę, ona też się w nim zakochała. Zamieszkali razem, żyli szczęśliwie i wygodnie. Ona nie interesowała się, skąd pochodzą pieniądze, przynajmniej początkowo nie interesowała się tym. Nie wiedziała, że za każdy „interes” ukochany może pójść za kratki. Stopniowo jednak wyczuwała coraz bardziej atmosferę strachu, niepewności i zaczęła pytać. Zorientowała się, co to są za interesy i postawiła warunek: ona albo współpraca z Wierzbickim. Paliżyto musiał wybierać. I właściwie postanowił wybrać Joannę, tylko nie tak zaraz, bo chciał odkuć się finansowo, a dopiero potem zlikwidować swoje sprawy. Nastąpił okres jego gorączkowej działalności, dwoił się i troił, namówił też Owczarka, żeby i tamten skończył z braćmi. Wreszcie postanowili o swojej decyzji powiedzieć szefom. I powiedzieli. Ale tu zaczęły się komplikacje. Przede wszystkim Leon Wierzbicki nie chciał się ich pozbywać jako współpracowników, nie miał pełnowartościowych następców. Poza tym kierował się słuszną chyba zasadą, że jak ktoś wyskakuje z interesu, staje się nieco mniej dyskretny, a to stwarza już realne niebezpieczeństwo. Sposób rozliczeń był u nich dosyć skomplikowany - otrzymywali połowę swoich „zarobków”, reszta była u Leona Wierzbickiego, jak w banku, mieli u niego coś w rodzaju kont. Pojechali do niego do Krakowa, żeby zabrać swoje pieniądze. I wtedy pan antykwariusz pokazał się im z zupełnie innej strony, niż znali go dotychczas. „Pieniądze”? - zdziwił się. - „Nic wiem, o czym mówicie. Chyba się wam coś pomieszało. Nie mam waszych pieniędzy, dlaczego miałbym je mieć?” I przechodząc na poważny ton: w tej chwili pieniędzy im nie odda, muszą jeszcze odpracować swoje, parę lat. Doszło

do awantury, Paliżyto groził milicją, Wierzbicki śmiał się w głos z tych gróźb, bo wiedział, że wszyscy jadą na tym samym wozie, jednak awantura była taka, że milicja pojawiła się - wezwana przez kogoś z sąsiedztwa. Funkcjonariusze wkroczyli, zaczęli wyjaśniać przyczynę awantury, która zaniepokoiła sąsiadów. Oczywiście żaden z jej uczestników nie powiedział nic na temat rzeczywistego powodu ich konfliktu. Wierzbicki, popisując się refleksem, oznajmił, że jego goście przyjechali z Warszawy i przywieźli mu kilka starych książek, stawiają jednak tak wygórowaną cenę, że chyba nie dojdzie do transakcji. Milicjanci poprosili, żeby załatwiać te sprawy ciszej, bo sąsiedzi chcą spać, spisali swoim zwyczajem notatkę z zajścia, podając personalia uczestników, po czym odeszli. W Warszawie Owczarek i Paliżyto zwrócili się do Karola Wierzbickiego, to on w końcu wciągnął ich w tę sprawę. Karol bezradnie wzruszył ramionami i powiedział, że jest w takiej samej sytuacji, co oni, nie ma wpływu na brata, u którego więzy krwi przestają się liczyć, kiedy w grę wchodzi pieniądze. Twierdził, że i on ma do brata różne finansowe pretensje i że w ogóle żałuje, że zdecydował się na współpracę. Kiedy tak zaczęli gadać, zobaczyli pewną perspektywę, która jednak wymagała wielkiego zdecydowania. Karol znał kochankę Leona, prowadzącą od niedawna pensjonat w Zakopanem. Mieszkał w tym pensjonacie, a jako że liczył sobie o dziesięć lat mniej niż brat i był człowiekiem wyjątkowo przystojnym - udało mu się tę kobietę zainteresować sobą do tego stopnia, że kiedyś, w nagłym przypływie szczerości zwierzyła mu się, że chciałaby być z nim, a jedyną przeszkodę stanowi jego brat, Leon, który ma ją w garści z przyczyn natury finansowej. Jaskułowa niczego nie odziedziczyła po swoim stryju, który był biedny jak mysz, pensjonat kupił ów staruszek za pieniądze Leona Wierzbickiego, po czym szybko zmarł, pensjonat odziedziczyła Jaskułowa, ale pan Leon zabezpieczył się oczywiście, biorąc od Jaskułowej weksle na całą wartość pensjonatu. Tak wyglądała sytuacja, kiedy zadecydowały się losy Leona Wierzbickiego. Paliżyto pojechał do Krakowa niby pertraktować z Wierzbickim, ale w rzeczywistości liczył tylko na ostrze swojego noża. Zabił Wierzbickiego w jego mieszkaniu, od Karola wiedział, w jakim miejscu jest skrytka, otworzył więc ją, zabrał zawartość, to znaczy trochę biżuterii, dolarów, złoto i ... weksle Jaskułowej, wystawione na nazwisko Leona Wierzbickiego. W tym czasie Owczarek oraz ubrany w rzeczy Paliżyty i podobny do niego - Zieliński, dokonali włamania do sklepu w Warszawie, Paliżyto uzyskał więc gwarantowane alibi, tym bardziej że zdążył przyjechać do Warszawy, przebrać się w to, w czym w nocy był Zieliński i dać się złapać razem z Owczarkiem na bazarze. Weksle stanowiły dla nich zabezpieczenie, że Jaskułowa wypłaci należne im pieniądze i sporo dołoży. W garażu na Błękitnej mieli oni skrytkę, w której trzymali to, czego bali się przechowywać w mieszkaniach, to znaczy oczywiście skrytkę miał Karol Wierzbicki. Były w niej rzeczy, które Paliżyto zabrał z mieszkania Leona Wierzbickiego i inne przedmioty oraz papiery świadczące o działalności całego „zespołu”. Owczarek i Paliżyto spokojnie siedzieli w więzieniu i czekali na rozprawę, kiedy przeniknęła do więzienia wieść, że Karol Wierzbicki popełnił samobójstwo. Owczarek i Paliżyto wpadli w popłoch, wiedzieli, że w takich przypadkach przeszukuje się mieszkania, przypuszczali, że może być rewizja w garażu, że zostanie odnaleziona skrytka i w konsekwencji - oni będą zgubieni. Porozumieli się przy pomocy innych więźniów i postanowili, że Owczarek dostanie się jakoś do więziennego szpitala i stamtąd zawiadomi Zielińskiego, żeby jak najszybciej uprzątnął skrytkę, „bo może być czarno na błękitnej”. Dalszą historię grypsu znasz. Samobójstwo Wierzbickiego było natomiast niewątpliwe, w domu nie znaleziono niczego podejrzanego, nie przeszukiwano więc aż tak skrupulatnie garażu, zresztą może już był pusty w czasie przeszukania, bo Zieliński i bez grypsu wiedział, co ma robić. Oni odsiadali karę, ty zacząłeś nowe życie i w czasie tego nowego życia, o czym wiesz znacznie lepiej niż ja - poznałeś Dolińską. Paliżyto już w więzieniu wiedział, że dzieje się coś niedobrego dla niego, ton listów Joanny zmienił się bardzo. Po wyjściu z więzienia Joanna

powiedziała mu wszystko, to znaczy powiedziała, że ma kogoś, ale nie podała żadnych szczegółów. Jednak oni wysłedzili cię i oczywiście poznali: wiedzieli, że już nie jesteś w milicji, ale nie wierzyli w przypadki, przypuszczali, że ty ciągle chodzisz po ich śladach i nie wiadomo, co o nich wiesz. Paliżyto prosił Joannę, żeby nie robiła „głupstw” i została z nim. Ona nie zgodziła się, wtedy jej zagroził, że jeżeli zostanie z tobą, oni ciebie wykończą. Wówczas to przestała nagle kontaktować się z tobą. Ale oni nie mieli chwili spokoju. Zdarzały się ataki histerii, w czasie których wykrzykiwała, że wszystko powie, że ich nienawidzi, a najbardziej Paliżyty, wreszcie oświadczyła, że bez względu na skutki - wraca do ciebie. W ten sposób podpisała na siebie wyrok. Zawieźli ją do garażu, tam rozegrała się jeszcze jedna scena, znowu histeria, cios nożem, zadany przez Paliżyte. A potem próba wmieszania ciebie. Przy jednej okazji chcieli się pozbyć was obydwójga. Paliżyto pojechał do Jaskułowej po pieniądze i ona mu je przygotowała, ale już nie zdążyła wręczyć, bo obydwójga zostali ujęci. Przy Paliżycie znaleziono weksle Wierzbickiego i jego złotą papierośnicę. Wtedy chłopak zobaczył, że wszystko stracone i zaczął mówić. To by było wszystko. W ten właśnie sposób zakończyła się sprawa włamania do pewnego sklepu elektrotechnicznego - uśmiechnął się Szymański.

- Mówiłem ci chyba - powiedział Zięba - że mnie ta sprawa od początku wydawała się podejrzana, ale nie wiedziałem, z której strony ją ugryźć. A już kiedy wystrzeliła historia z grypsem, nie miałem wątpliwości, że coś się za tym wszystkim kryje.

- Tyle, że niewiele miałeś okazji podzielić się tymi wątpliwościami.

- Z jakiego powodu?

- Z powodu dezercji - roześmiał się major. - Przekazałeś koledze sprawę, ale nie przekazałeś mu swoich myśli. A to też ma swoją wartość.

- Co za myśli? Jakieś niejasne podejrzenia. A na mojej dezercji nikt chyba nie ucierpiał.

- W szczególności nie ucierpieli przestępcy, a przeciwnie, skorzystali na tym. A może byś spróbował wrócić do nas? Co o tym myślisz?

- Nie wiem jeszcze, zastanowię się - powiedział Zięba.

- Pewnie, zastanów się. A potem wpadnij do mnie. Drogę pamiętasz?

- Jakoś trafię - roześmiał się Zięba.